Nr. 21 (1117). Warszawa, dnia 11 (24) Maja 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

NOWY KRÓL

Dnia 17 maja Hiszpania dostała nowego króla. Dotychczas był on niepełnoletnim; teraz przez pełnoletność urzędową stał się dojrzałym do rządów. Urodzony w roku 1886, pogrobowiec, syn Alfonsa XII, ma dopiero lat szesnaście. Przy największych zdolnościach i najsilniejszym rozpędzie energii wewnętrznej jeszcze potrzebowałby rady, a nawet steru, a Alfons XIII jest wątły i fizycznie i duchowo. Regencya, która była dotychczas wszystkiem, nie zapadnie odrazu w nicość, zmieni tylko swój zakres, swój styl, swoje wcielenie: nie matka, ale jakiś mąż stanu, jako niezbędny doradca i kierownik, aż do dojrzałości politycznej nowego króla, nie przestanie regencyi rzeczywistej sprawować. Szesnastoletni młodzieniec może mieć dobre chęci, rzeczywiste zdolności, nawet pewną jasność poglądu na to, co to jest państwo, co ojczyzna i jakie względem niej obowiązki; ale niepodobna od niego wymagać sprawności do rządów. Dojrzałość polityczna, niezależnie od powszechnego zwyczaju w istotnym porządku rzeczy przychodzi później od cywilnej— i nie bywa nigdy doskonałą. Młody król jest zapewne pełnoletnim do poczucia tego ogromu obowiązków; które na niego spadają, mógł już z siebie wydobyć szczerą wolę rządzenia, uszanowania konstytucyi i poważnej pracy.

Łatwiej sześćdziesięcioletniemu Edwardowi VII być królem-cesarzem olbrzymiej monarchii angielskiej, niż szesnastoletniemu Alfonsowi XIII przodować od traktatu waszyngtońsko-madryckiego prawie już na trzeci stopień mocarstwowej potęgi zepchniętej Hiszpanii. Wielkie straty, poniesione w r. 1898 (7,700 mil kw. i około 10 mil. mieszk.) zostawiły jeszcze państwu hiszpańskiemu, w kraju macierzystym przeszło 9,000 mil kw. i 18,500,000 mieszk., w koloniach i terytoryach po za Europą, już tylko wyłącznie afrykańskich, 170 mil. kw. i około 350,000 mieszk. Przy dobrym rządzie, przy szczerej i umiejętnej pracy politycznej, nie samego tylko monarchy, ale i obywateli — siła mięśniowa, wsparta znakomitem położeniem geograficznem, wystarczyłaby do utrzymania bytu i opędzenia się międzynarodowym niebezpieczeństwom na długie lata, może wieki. Owa przecież praca szczera a umiejętna nie może być prostem tylko spełnianiem obowiązków przez rozsądek, dostrzegający niezaspokojone potrzeby, przez wolę, stającą u wytykanych celów i przez uczciwość, chroniącą państwo od prywaty i grabieży. Hiszpania potrzebuje czegoś wzbijającego się nad poziom zwykłej szarzyzny życia; potrzebuje nowego powiewu, nowego prądu, — ducha, któryby wrzucił w nią pewne nowe myśli społeczne i wywołał w niej drgnienia do nowych czynów. Naród ten jako zbiorowość społeczno-polityczna, jeśli chce rzeczywiście rozwijać się nietylko literacko i towarzysko, jak było dotychczas, ale pełnią istoty swojej, jeżeli chce stać się ze zbiorowości istotą, nie etnograficzno-obyczajową, lecz polityczną, musi przebyć cały proces wewnętrznych przemian, któreby mu pozwoliły odrodzić się, odżyć, zużytkować i te zdolności, które ma w sobie i te środki i dary przyrody, których nie widzi naokoło siebie.

Zawiele jest w Hiszpanii kościoła,— za mało szkoły; zbyt wielu biskupów i księży wszelkiego rodzaju, zbyt wielu grandów niezależnych prawie od państwa, choć władzy politycznej dawno już pozbawionych— zbyt mało niezależnych nauczycieli ludowych. Uporządkowanie arystokracyi, wyodrębnienie państwa z całości instytucyj państwowo-kościelnych, od wielowiekowego obyczaju stężałych, pozakładanie seminaryów nauczycielskich i szkół, nowe urządzenie stosunków agrarno - kulturowych i podniesienie kultury materyalnej na całym obszarze energii ekonomicznej— którą, niestety, dopiero obudzić potrzeba: oto co zostaje do zrobienia w Hiszpanii, jeśli Hiszpania ma rozwijać się i żyć, a nietylko trwać, jeśli Hiszpanie chcą mieć ojczyznę, nietylko nierozszarpywaną przez własne stronnictwa, ale i niezagrożoną rozszarpaniem z zewnątrz przez obce potęgi. Reforma w najgłębszym, najrozleglejszym zakresie — to dla Hiszpanii dzisiejszej hasło bojowe życia, które bojowaniem ciągłem być musi, jeśli życiem być chce. Samo tylko wydobycie z siebie energii wystarczającej do korzystania z ogromnych skarbów mineralnych byłoby już wielkiem dla Hisz-

panii dobrem, zapewniłoby jej utrzymanie się w owej sile mięśniowej wcale jeszcze pokaźnej, a bez ekonomicznego rozwoju zgoła niedającej się nawet zachować. Bogactwa rozsypane dookoła, ale nie sięgnie po nie ręka hiszpańska: cudzoziemcy prowadzą eksploatacyę kopalni, cudzoziemcy wywożą z nich pieniądze. Całe obszary leżą odłogiem, nietykane ani przez swoich, ani przez obcych. A co z pokładami geologicznymi natury, to i z pokładami duchowymi narodu. Potrzeba się tylko do nich dobrać, potrzeba je otworzyć, aby z tych kopalni przyszłości wyprowadzić skarby i bogactwa w łonie ludu hiszpańskiego złożone. Przez książkę i szkołę, ale porządną, w wielkim stylu rzetelnej, głębokiej oświaty, budzącej umysły do samodzielności, lud ten duchowo dopiero się narodzi. Mieć konstytucyę, być monarchią konstytucyjną — to wątpliwa zdobycz; posiąść rzeczywistą wewnętrzną wolność i w tej wolności się rozwijać — to cel życia istotny, to życie samo. Czy nowy król Hiszpanii sięgnie kiedy po czarę takich marzeń, ale i takich goryczy? Sięgnąć warto.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

D. 17 b. m. król Alfons XIII, doszedłszy pełnoletności prawnej, lat 16-u, zaprzysiągł konstytucyę, koronował się i objął rządy. Podczas uroczystości schwytano kilku ludzi z bombami i dynamitem. Wrzucenie do powozu królewskiego jakichś wierszy miłosnych przez waryata, Puyg'a, wobec tych bomb było drobnem tylko zakłóceniem porządku. Korona hiszpańska nie jest rozkoszną. Na początek pozostawił król Sagastę i kilka lat minie, zanim coś samodzielnego, a mającego wagę polityczną, przedsieweźmie.

W delegacyi węgierskiej p. Gołuchowski uzupełnił wyjaśnienia swoje względem półwyspu Bałkańskiego oświadczeniem, że w szczerą wolę Rosyi w granicach zobowiązań z r. 1897 wierzy; ale „na Wschodzie działa tyle rozmaitych prądów, że szczera wola Rosyi, aby dochować ugody, może nie wystarczyć bez odpowiednich środków przeciwdziałania.“ Krytykowano też trójprzymierze. Rakovsky twierdził, że nie jest ono już tak potrzebnem, jak przed sześciu laty. Świta arcyksięcia Franciszka Ferdynanda na koronacyę angielską drażni ungarissimów: chcieliby widzieć w niej tylko Węgrów, ilu Przedlitawców. Hollo bije już nawet w bęben trwogi: ugoda z r. 1867 pogwałcona. Dla poważnych polityków są to dzieciństwa. Ugody ekonomiczno-skarbowej z Węgrami wciąż jeszcze niema. Rząd przedlitawski zażądał budżetu tymczasowego do 1 lipca. Pogłoski o dymisyi i Szella i Koerbera wskazują naprężenie opinii.

D. 15 b. m. zebrali się w Veereniging wodzowie Boerów. Są już wieści, że odrzucili pokój; zapewne szerzy je misya europejska przy Krügerze. Anglicy są bardzo teraz względni: nie występują przeciwko tym oddziałom, których wodzowie uczestniczą w naradach; wogóle wojna omdlewa. W Anglii samej „Jingo,“ którychby „smokami“ nazwać można, niechętni są rokowaniom; prasa smocza utyskuje, że Boerowie w Vereeniging zamiast się poddać w zamian za ustępstwa, ułożą tylko sobie nowy plan kampanii. Chamberlain łagodnieje: d. 16 b. m. w mowie o pokoju w Birmingham oświadczył, że Anglia nie żąda zdania się na łaskę i niełaskę; chce tylko zapobiedz powtarzaniu się w przyszłości takich wojen, jak obecna. Z Vereeniging — zapewniał minister—wyjdzie delegacya do Pretoryi dla wyjednania lepszych warunków. Widać, że od tych lepszych warunków groźny dotychczas bicz na Boerów, obecnie pod wpływem króla już się nie uchyla.

Cesarz Wilhelm ofiarował Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej posąg Fryderyka Wielkiego „celem ustawienia go w Waszyngtonie.“ Roosevelt odpowiedział, że przedstawi ofiarę kongresowi.

Anglia zawarła z Chinami układ o koleje, który może wywołać zatarg z innemi mocarstwami.

Król włoski ma zawitać do Wiednia w czerwcu lub wrześniu. Odwiedziny te przez to samo, że będą, jeżeli będą, staną się faktem politycznym.

W Serbii po odrzuceniu przez skupczynę projektu pożyczki Wuicz podał się wraz z kolegami do dymisyi. Pasicz prawdopodobnym następcą.

Szach perski bawi w Europie.

W Wenezueli nie powodzi się rządowi: wojska jego d. 6 maja odparli powstańcy od Carupana nad oceanem; sam prezydent Gomez ratował się ucieczką.

Rząd amerykański wysyła umyślną komisyę na Filipiny dla zbadania okrucieństw wojskowych, których ofiarami byli uszczęśliwieni podbojem amerykańskim Tagale.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Francyi.

14 maja

Iznowu spokój zapanował we Francyi. Nawet w Paryżu ruch społeczny na czas pewien osłabł znacznie. Gdyby nie coraz straszniejsze wieści o rozmiarach klęski, która nawiedziła kolonię francuską, Martynikę, gdyby nie wykrycie nowej Panamy, za jaką uważana jest głośna sprawa Humbert-Crawford, to nawet w prasie francuskiej dawałaby się odczuwać martwota.

Skończyły się bowiem ostateczne wybory, cudowna klapa bezpieczeństwa, dzięki której od lat 32 Francya żyje we względnym spokoju, nie tak łatwo w niej o wybuch, który dawniej zdawał się być nieuniknionym co lat osiemnaście.

W ciągu okresu wyborczego wszystkie niezadowolenia, żale, nienawiści znajdują upływ w tysiącznych afiszach, pełnych obelg i potwarzy, albo w hałaśliwych zebraniach, kończących się niejednokrotnie walką na pięście lub policzkiem. Przez cztery lata zbierają się coraz groźniejsze fale, na widnokręgu ukazują się chmury, powietrze staje się coraz cięższem, przesyconem gazami wybuchowymi, aż nadchodzi oczekiwany przez naród okres wyborczy. Wtedy fale rozpryskują się w krople oszczerstw i kłamstw, chmury rozchodzą się pod zaklęciem pięknie deklamujących kandydatów, atmosfera staje się miłą i przyjemną pod czarem tysiącznych obietnic i szumnych programów.

Gotująca się burza już zażegnana, niebezpieczeństwo wybuchu minęło, a głodni, nieodziani, pozbawieni pracy, niechaj się cieszą, że będą mieli niegorszy od dawniejszego skład Izby, że ministeryum może liczyć śmiało na większość, właściwych bo-

RYSZARD O'MONROY.

OSTATNIA PARTYA.

Od dawna już ksiądz Troadeck przychodził codzień regularnie na partyę *écarté* z margrabiną de Kerlauzon. Co wieczór, bez względu na stan pogody, po „Anioł Pański,“ zarzucał płaszcz, brał parasol i latarkę i równym krokiem puszczał się drogą do zamku Coatserho. W przejściu przez wieś witano go wszędzie nizkimi ukłonami, a kobiety mówiły między sobą:

— Ot, proboszcz idzie do zamku; znak, że już dziewiąta niedługo.

A przy kominie opowiadano sobie, jakim to świetnym kapitanem od dragonów był kiedyś ten proboszcz, lecz gdy on walczył na wojnie, panna [du Halgouët wyszła tymczasem za mąż za margrabiego do Kerlauzon, a zrozpaczony kapitan został po powrocie księdzem. Były to dawne, bardzo dawne dzieje miłości, która dziś miała już tylko delikatny zapach zasuszonego kwiatu. Gdy przeszły lata, ksiądz się postarał, aby mu dano maleńkie probostwo Plouganon, w sąsiedztwie margrabiny, która już wtedy była wdową. I staruszkowie, do których rozkosze miłości dawno już przestały się uśmiechać, nabrali zwyczaju widywania się codzień i urządzania sobie partyjki, której za nic w świecie nie byliby się wyrzekli. O pół do jedenastej służący wnosił tacę z herbatą i ciastkami, o jedenastej zaś ksiądz Troadeck szedł już z powrotem na probostwo, rozmyślając po drodze o zyskach i stratach wieczoru.

Żwir alei parkowej skrzypiał pod jego nogami, a on szeptał:

— Jakie szczęście ma ta margrabina! Trzy razy król! I jak tu z nią walczyć! Lecz tę ostatnią lewę to już z własnej winy straciłem. Powinienem był trzymać się ostro i nie robić ustępstw. Ale takie nędzne miałem atu. Nie było bezpiecznie...

Niekiedy przychodziło do ostrej sprzeczki między partnerami, gdyż pani de Kerlauzon grała źle, a nie lubiła przegrywać, pomimo że była bogata. Grano zresztą wysoko, bo ksiądz Troadeck był człowiekiem bardzo zamożnym.

Codzień, przed rozejściem się, obliczali, co które było winne; a przy tej sposobności margrabina, jeśli jej wypadło wyjąć z sakiewki monetę złotą, stanowiącą różnicę w grze, nie żałowała ostrych wymówek. Lecz już w najzupełniejszej zgodzie siadali do herbaty, którą pili powoli, zagryzając ciastkami, a kiedy proboszcz, wziąwszy kapelusz, całował z uszanowaniem rękę swej przeciwniczki, rozstawali się najlepszymi przyjaciółmi. Nazajutrz jednak powtarzało się znowu to samo.

I tak cicho, jednostajnie, bez niezwykłych wydarzeń, lecz miło, płynęło życie w tym zakątku Bretanii. Partya kart wieczorem stanowiła jedyną rozrywkę dwojga starych przyjaciół; byli szczęśliwi, nie zdając sobie z tego sprawy; żyli wspomnieniami, które sięgały półwiecza, wzajemną ufnością i przyzwyczajeniem. Proboszcz, z racyi niby partyi wieczornej, golił się codzień, a wychodząc zakładał świeży kołnierzyk; margrabina z tego samego względu przywdziewała elegancką mantylkę jedwabną i przed zejściem na dół nieomieszkała nigdy spojrzeć w zwierciadło. W salonie zaś, zawsze pustym, zapalano wszystkie światła.

Od pewnego jednak czasu zdrowie zaczęło niedopisywać margrabinie. Musiała wyrzec się przechadzki, odbywanej wolnym krokiem dokoła trawnika; widnokrąg jej życia zacieśniał się coraz bardziej. Co miesiąc wypadało zaniechać czegoś z dawnych przyzwyczajeń. Nogi odmawiały posłuszeństwa, tchu zaczynało brakować; zdyszana, potem okryta, musiała przysiadać co chwilę, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Ale wieczorem powracał na twarz uśmiech i, strojna jak zawsze, siadała do partyi z proboszczem, może tylko la-

wiem nacyonalistów wybrano tylko 59, choć Lemaitre naliczył ich 70, a w samym Paryżu i na przedmieściach 24 (na 50 deputowanych). Tegoroczne wybory są wielce pouczające dla wszystkich, którzy żywo interesują się Francyą i parlamentaryzmem wogóle.

Przedewszystkiem zadano już chyba cios ostateczny monarchistom, odrzucając nawet słynnego Cassagnaca, jako też Piou, twórcę partyi t. zw. *ralliés*. Porażkę też zupełną ponieśli antysemici, przepadł bowiem nawet Drumont ze swymi współpracownikami, Papillaud'em i Boisandré'm, a głośny krzykacz, Max Régis, podrażniony przegraną, porzuca całkiem widownię polityczną i powraca do studyów prawniczych. Hasła antysemitów i ich programy nikogo już prawie nie porywają, a dziennik *Libre Parole* czytany jest głównie dzięki wymyślaniom na dawnych sojuszników, jak Jul. Guérin. Charakterystycznem też było, że znaczna większość nacyonalistów występowała w roli antyklerykałów, zwalczających Jezuitów; rozumieją oni bowiem, że minęły już czasy we Francyi, gdy w imię obrony kościoła i religii można było nawet w Paryżu zdobyć popularność i krzesło poselskie, jak się to udawało przez długi czas wstecznikowi, dr. Deprès. Każdy nacyonalista, zwłaszcza w Paryżu, musiał dodać sobie nazwę najskrajniejszych partyj, a w programie umieszczał zniesienie senatu, nieraz nawet stałej armii, wolność zupełną słowa i zebrań itp.

Już z tego samego wypływa wniosek, że społeczeństwo francuskie nie jest tak strasznie zacofane, skoro reakcya nie może już zwabić wyborców klerykalizmem, antysemityzmem, ani cezaryzmem. Dzisiejsi zresztą nacyonaliści to nietylko dawni monarchiści, bulanżyści, antysemici, ale i republikanie umiarkowani *à la* Méline — to właściwie obrońcy dzisiejszego ustroju społecznego, wrogowie śmiertelni nowych prądów. Łatwo przewidzieć, że za lat kilka partya ta zyska jeszcze więcej zwolenników z centrum i stanie się zwartą armią, broniącą przywilejów mieszczaństwa. Choć nacyonaliści zdobyli 24 nowe mandaty kosztem postępowców (*progressistes*), zwycięztwo ich jednak wyda się mizernem, skoro z jednej strony zwrócimy uwagę, że i oni stracili kilku zasłużonych bojowników swej sprawy, jak dr. Paweł Méry i Goussot, a z drugiej — że na wybory hojnie szafowali milionami franków z kas kongregacyj zagrożonych, że na swą obronę powołali wszystkie możliwe żywioły i że na wzór Jezuitów nie przebierali w środkach.

Za ich to wpływem, pod natchnieniem akademików, Lemaitre'a i Coppée'go, przywódców głośnego dziś na cały świat stronnictwa „Patrie française," kobiety wzięły po raz pierwszy tak czynny i ruchliwy udział w wyborach.

Gdy maleńka ich garstka słowem i piórem popierała gorąco szermierzy postępu, ogromna większość, bo aż 800,000 podobno, należała do Ligi kobiecej, na której czele stoi admirałowa de Couverville, wiecznie ze złotym krzyżem na piersiach pozująca na Joannę d'Arc. Ta olbrzymia wsteczna liga kobieca, sklecona przez damy arystokratyczne, nie umiała czy nie chciała ukrywać swych przekonań i zamiarów, i wziąwszy za dewizę słowa: „Bóg i Francya," wypowiedziała otwarcie walkę „wolno-mularzom," Żydom i międzynarodowcom.

W Paryżu i we wszystkich zakątkach Francyi, wychowane w klasztorach panie i panienki rozbiegły się po kościołach, rynkach, pracowniach, warsztatach i pralniach, starając się skłonić nieuświadomione żony i matki, by te namawiały mężów i synów do głosowania za nacyonalistami.

Świstek illustrowany Ligi kobiecej p. t. „Cri d'alarme" z napisem „Ojczyzna w niebezpieczeństwie", rozrzucony w setkach tysięcy egzemplarzy, nawoływał gorąco do głosowania za „obrońcami wolności, (czyt. kleru i katolicyzmu), własności, rolnictwa, przemysłu, handlu, — za ludźmi, którzy „pragną postępu społecznego przez dobroć a nie przez burzenie i nienawiść"... „Jeśli —wołały, szczycąc się tem otwarcie —mężowie wasi i bracia nie będą głosowali za naszymi kandydatami, to wszystko stracone; zabiorą wam dobytek i dzieci, by je oddać państwu... Wszyscy robotnicy zmuszeni będą na rozkaz rządu strejkować (aluzya do projektowanego prawa Milleranda), a jeśli nie zechcą, zostaną wtrąceni do więzienia..." i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że fałszując tak każdą ideę, a jednocześnie popierając swą propagandę jałmużną lub czczemi obietnicami, szeleszczące jedwabiem i brzęczące złotem damy pociągnęły za sobą niejedną zadłużoną robotnicę, lecz wpływ ich na mężczyzn był wogóle nieznaczny, a Liga kobiet z ludu, jako też Związek kobiet uspołecznionych wydały dwa manifesty, protestujące w gorących słowach przeciw bałamuceniu pracownic i zaznaczyły swe klasowe uświadomienie, uniemożliwiające wszelką łączność w imię wspólności płci.

Stokroć większe usługi, niż „Ligue des femmes françaises", oddali nacyonalistom przedstawiciele drobnego handlu i przemysłu. Wiadomo, że dziś, w okresie koncentracyi kapitałów, naturalnym biegiem rzeczy wielki przemysł uśmierca mały, fabryki zastępują małe warsztaty, setki ubogich sklepikarzy bankrutuje, nie mogąc wytrzymać konkurencyi z olbrzymimi magazynami, jak Louvre, Bon Marché, Printemps, Potin, Camoy, a wspaniałe kawiarnie i bary zabijają małych szynkarzy. Ofiary obecnego ekonomicznego ustroju, zamiast zrozumieć istotę swej chronicznej choroby, zwracają się wciąż do nowych znachorów, szukając u nich radykalnego lekarstwa. A znachorów na świecie nie zabraknie nigdy, dopóki nie zniknie nędza i nieświadomość! Nikt zaś nie może przewyższyć nacyonalistów w kłamstwie i obłudzie. Dalejże obiecywać drobnym handlarzom zmniejszenie patentów, obłożenie podatkiem stowarzyszeń spożywczych, znaczne podwyższenie patentu wielkich magazynów, obniżenie ceny gazu, wydanie praw przeciw trustom i t. p. Cóż więc dziwnego, że upojony obietnicami szynkarz lub handlarz dokładał wszelkich sił, ażeby namówić swych dłużników-klientów do głosowania za zbawcami drobnego handlu. Śmiesznym i nad wyraz przykrym był widok uganiania się wszystkich kandydatów za sklepikarzami, kokietowano ich różnymi sposobami. Jedyny dziennik *Aurore* smagał ich bezlitośnie, zowiąc oszustami, fałszerzami, faktorami i lichwiarzami, ale za to nawet Viviani, Rouanet i Clairin żądali publicznie od redakcyi wykreślenia ich z listy kandydatów popieranych.

Nietylko drobni handlarze i ich dłużnicy uwierzyli czczym frazesom i szumnym programom nacyonalistów, ale i pewna, choć nieznaczna, garstka niedostatecznie uświadomionych robotników. Przekonawszy się, jak złudnemi były obietnice radykałów, że rządy Milleranda nie zmniejszyły wcale ich nędzy, chcieli spróbować innego specyfiku, jak tonący, chwycili się ostatniej deski zbawienia. Wkrótce jednak i ci naiwni lub zaślepieni przejrzą i podążą do

---

godniejsza i nie tak gniewna, gdy przyszło płacić przegraną.

— Jak wino, pani się stajesz coraz lepsza z wiekiem — mówił Troadeck.—To dobrze, bardzo dobrze.

— Nie chęci brak mi do kłótni, mój proboszczu, ale siły — odpowiadała melancholijnie pani de Kerlauzon.

Schudła też bardzo, a Troadeck, chcąc zagłuszyć niepokój wewnętrzny, wmawiał w nią i w siebie, że odmłodniała przez to i odzyskała dawną figurę.

Pewnego wieczoru, przyszedłszy jak zazwyczaj, zastał dom cały w zamieszaniu. We wszystkich oknach było światło, cienie krążyły po schodach, u drzwi stał powóz.

— Co się tu dzieje? — zapytał, przejęty niepokojem.

— Źle, księże proboszczu, pani margrabina ma się niedobrze. Posłano po doktora Le Goff'a, który teraz właśnie jest na górze. Może ksiądz proboszcz zechce zaczekać na dole...

Ksiądz wszedł do salonu, zataczając się, jak pijany. Strasznem przeczuciem ściskało mu się serce. Objął wzrokiem te sprzęty, portrety przodków na ścianach — to byli wszystko starzy znajomi, wśród których przeżył tyle chwil błogich. A przy kominku stał rozłożony od wczoraj stoliczek do kart, z dwiema taliami, niebieską i różową, ośmiu żetonami z masy perłowej i z kości wszystkiem. Czyżby istotnie więcej już grać nie mieli? Ani zasiąść w tych fotelach? ani się sprzeczać o króla?..

Na schodach rozległy się drobne kroki, a proboszcz, z sercem bijącem, jakby mu wyskoczyć z piersi chciało, rzucił się do drzwi przedpokoju.

— I cóż, doktorze? Jak się ma margrabina?

— Księże proboszczu — poważnie wyrzekł Le Goff — dla pani de Kerlauzon niema już nadziei. To tylko kwestya godzin. Nie mam tu nic więcej do czynienia, teraz kolej na pana. Spiesz się udzielić jej ostatnich sakramentów.

Księdzu wydało się, że wszystko dokoła niego wiruje. Gdy doktór wsiadał do powozu, on, trzymając się poręczy, wstępował z trudnością po schodach. U drzwi pokoju starej swej przyjaciółki zatrzymał się chwilę, otarł pot z czoła, łzy z oczu i z twarzą napozór spokojną zapukał lekko.

— Czekałam cię proboszczu — odezwała się margrabina, wyciągając doń rękę—musisz mnie na tamten świat wyprawić. Nie chciałabym odejść bez twego błogosławieństwa.

— Cóż znowu? — zamruczał ksiądz, siląc się na uśmiech — jeszcze do tego nie przyszło. Przesadzasz pani!

— Nie przesadzam, nie, proboszczu. Pełń swą powinność, jestem gotowa.

Rozległ się szept modlitwy, cichych wyznań, nastąpiło błogosławieństwo, poczem margrabina odezwała się głosem słabym, lecz wesoło:

— A teraz, gdy już jestem w porządku, przysuń, proboszczu, ten stoliczek i siądź przy łóżku. Zagramy sobie ostatnią partyjkę.

— Jakto? pani chcesz?...

— A tak. Grać będę o koszty pogrzebu... A co?.. Niezwykła stawka!.. Kto zaczyna?.. Król! A więc ty, proboszczu!

Drżącą ręką zebrał ksiądz karty i po dawnemu rozdał po pięć, odwracając atu.

— Mam króla, damę, waleta, dziesięć atu! znaczę... Trzy punkty!.. Mam szczęście, jak zawsze!.. Mój proboszczu, co ci jest? Chory?.. Nie płacz... Karty daj za mnie, bo już sił nie mam... Atu pik!.. Dobrze, jeszcze mam króla... Twego waleta biję damą, a asa treflowego—waletem... Mam już... wygrałam!.. Proboszczu, będziesz mnie musiał pochować darmo... starą przyjaciółkę... Duszę się... daj rękę, przyjacielu!.. Żegnaj!..

I z uśmiechem osunęła się na poduszki, tryumfująca, niby uszczęśliwiona wygraniem ostatniej partyi, a ksiądz Troadeck, szlochając, padł na kolana u stóp łóżka.

giełd pracy, do związków zawodowych. Niema środka, niema sposobu, któregoby nie użyli nacyonaliści podczas wyborów tegorocznych. Agitacya z ich strony była tak gorąca, a zawsze przewrotna i obłudna, poświęcono na nią tyle milionów franków, tyle sił zużyto, że tylko w przededniu ostatecznego bankructwa, mając przed oczyma widmo śmierci, zdobyć się można na podobny wysiłek. A przecież pomimo tylu ofiar, nie osiągnięto ostatecznego celu, nie usunięto tak poważnej liczby przeciwników. Wybory bowiem tegoroczne wykazały jasno, że Francya zżyła się już z formą republikańską i że znakomita większość wyborców jest za dotychczasową rzeczpospolitą z nieco radykalnym odcieniem.

Za obecną lub jeszcze radykalniejszą rzeczpospolitą głosowało 5,352,931 wyborców, a za rządami nacyonalistów, reakcyonistów lub Méline'a — tylko 3,208,157,— słowem wstecznictwo pobite zostało dwoma milionami głosów.

Pomimo uzyskania przez nacyonalistów 24 nowych mandatów socyaliści francuscy otrzymali 860,827 głosów, czyli z górą o 9% więcej niż w 1898 r., w samym Paryżu i na jego przedmieściach otrzymali 196,175 głosów. Wprawdzie w stosunku do ogólnej liczby głosujących ilość głosów socyalistycznych w Paryżu i na jego przedmieściach wynosi w tym roku 22%, gdy tymczasem w r. 1898 dosięgała 28, nie jest to jednak jeszcze dowodem aby Paryż był „stolicą klerykalizmu i małej burżuazyi", jak twierdzą pisma robotnicze niemieckie. Trzeba bowiem zwrócić uwagę, że nacyonaliści wzięli sobie za punkt honoru zdobyć Paryż, że wre obecnie w łonie partyi robotniczej, a raczej między ich wodzami walka bratobójcza, że dzięki udoskonalonej w ostatnich latach komunikacyi wielu pracowników paryskich przeniosło się po za obręb przedmieść, — że wreszcie coraz częściej uświadomieni robotnicy paryscy, zniechęceni do szefów i parlamentaryzmu, usuwają się całkiem od walki politycznej, rachując jedynie na giełdy pracy, syndykaty i na swe własne siły.

Dr. J. Zieliński.

KARTEL KARTELI.

IV.

Na pociechę spożywcy krajowego, żyłowanego tak wyrafinowaną metodą wyzysku, można byłoby przytoczyć tylko względy przemysłu wywozowego. Wprawdzie syndykaty ściągają niemiłosierny haracz ze swego kraju, ale czynią to ku czci i chwale jego przemysłu. Wszak dzięki temu, że spożywca opłaca w sposób pośredni cła i w sposób bezpośredni daninę kartelową, przemysł święci swe tryumfy za granicą. Obowiązek patryotyczny zatem nakazuje potulność i cierpliwość. Niestety, i ta apologia jest bajką najczystszej wody, o czem świadczy najlepiej bezwstydna i szkodliwa dla przemysłu wywozowego praktyka tych syndykatów, które zaopatrują przemysł w środki i materyały wytwórcze oraz w półfabrykaty, przedewszystkiem syndykatu węglowego, względnie koksowego. Taniość węgla jest warunkiem niezbędnym dla przemysłu, roszczącego pretensyę do podbojów zagranicznych. Cena węgla i koksu powinna być co najmniej niższą, niż w kraju rywalizującym. Syndykaty tymczasem, stosując wyżej naszkicowaną metodę faworyzowania zagranicy kosztem własnej ojczyzny, tamują wprost jej rozwój przemysłowy. Syndykat koksu w Bochumie, przy cenie krajowej 14-markowej, pozwolił swym członkom sprzedawać koks za granicą po 11,5 marek. W razie straty syndykat *wypłacał nawet różnicę* z kasy związkowej. W 1891 r. w Niemczech cena przeciętna rozmaitych gatunków koksu wynosiła 17,5 marek, gdy w innych krajach sprzedawano go po 15 i 12,5 marek. Wyzysk ten przybrał rozmiary aż nadto jaskrawe. Stwierdzono urzędownie, na zasadzie korespondencyi, zebranej z biura westfalskiego syndykatu koksowego, iż kartel ten sprzedawał w latach 1898—1902 swój wyrób do Austryi po 8 marek, gdy od hut niemieckich żądał 17 marek za tonnę. Dilingeński syndykat blachy ustanowił we własnym okręgu cenę o 5—10 m. wyższą, niż dla Szwajcaryi. Wspomniany wyżej ekonomista Vogelstein zebrał w pracy swej więcej równie wymownych przykładów.

Rzecz oczywista, iż co innego niezorganizowany tłum spożywców, a co innego kartele. Gdy tamten spełnia z rezygnacyą życzenia i rozkazy swych wyzyskiwaczy, pojedynczy syndykat protestuje, gdyż mu inny kartel narzuca gwałtem swą wolę, tj. gdy musi uiszczać ceny monopolowe za środki wytwórcze, nabywane od tego lub innego syndykatu. Ale i na ten zatarg znalazło się bardzo proste wyjście. Wiemy przecież, iż wielka masa krajowych, powiedzmy nieco zgruba, detalicznych spożywców, odcięta murem celnym od rynku wszechświatowego, chcąc nie chcąc, płaci wszelkie ceny, jakich się od nich zażąda. Syndykaty zatem, które np. są zmuszone drogo kupować od swych kolegów węgiel, mogą sobie łatwo odpowiednią nadwyżkę kosztów odbić na krajowej publiczności kupującej. Tracą one wskutek drożyzny węgla dopiero wtedy, gdy chodzi o zagranicę. Ale tu właśnie syndykat, będący sprawcą drożyzny, spieszy im z pomocą, wypłacając... premię wywozową. System ten wszedł już od kilku lat w zwyczaj i stosowany bywa w licznych gałęziach przemysłu. Tak np. syndykat blachy pobiera zapomogę w formie premii od karteli surowca i węgla, sam znowu wspiera również premiami te gałęzie, które od niego nabywają blachę dla celów przetwórczych i są zmuszone część ostatecznego wyrobu zbyć za granicę. W ten sposób wszystkie kartele podały sobie ręce, aby utworzyć spółkę wyzysku przeciwko spożywcy krajowemu i utuczyć się jego krwawicą. On to, jako prawdziwy idealista, dźwiga na sobie cały ciężar „popierania przemysłu krajowego," on dla jego rozkwitu opłaca cła i wszystkie podatki, pobierane przez kartele za pomocą bardzo złożonego a nawet tajemniczego aparatu. W istocie, zachodzi prawdopodobieństwo, iż Vogelstein zdołał zedrzeć zaledwie część zasłony z bezwstydnych praktyk syndykatowych. W każdym razie widzimy, na jak bajecznie naiwnem złudzeniu polegała idealizacya karteli, zaszczycanych rolą świadomych sterników nawy przemysłu krajowego. Nawy tej, jak widzimy, nie potrafią przeprowadzić bezpiecznie przez spienione fale kryzysowe ci, których jedyną pobudką psychologiczną jest chciwość i chęć wyzysku. Bezwzględność ich wywołuje w życiu, zamiast rytmu spokojnego i stałego, raczej histeryę i chwiejność. Vogelstein, na zasadzie licznych faktów, wykazuje, że kartele zmieniają wciąż ceny swych wyrobów. Od r. 1897 jeden ze związków nadreńskich giserni zmieniał dziesięciokrotnie ceny surowca. Cena blachy kotłowej podskakiwała i spadała niekiedy cztery razy do roku. Oczywiście, ceny dążyły przeważnie ku górze. Kartel każdy wyzyskuje natychmiast wszelkie ożywienie interesów wśród swych odbiorców. Wskutek tej chwiejności cen na środki wytwórcze i materyały, przemysł narażony jest na ryzyko, zwłaszcza że idzie tu o przemysł wywozowy, gdzie okres tak zwanego procesu cyrkulacyjnego kapitału trwa bardzo długo. Niepewność na rynku węglowym i żelaznym sama przez się jątrzy organizm przemysłowy i zaognia jego rany. Taktyka karteli pod tym względem wzbudza namiętność spekulacyjną. Wprost z rozmysłem „głodziły" one swych odbiorców. W chwili, kiedy składy kartelowe były wypełnione po brzegi żelazem, przemysł przymierał z „głodu żelaznego" i żył w ciągłej obawie przed dalszą zwyżką.

Powyższa charakterystyka działalności syndykatów pozwala wywnioskować, jak ich korsarstwo przemysłowe oddziałało na rynek pracy. Zmienny rytm przemysłowy i orgia spekulacyi — to rozszerzały, to zacieśniały skalę wytwórczości, a nadzieja, jakoby przypływy i odpływy na rynku pracy minęły bezpowrotnie z łaski syndykatów, okazała się pospolitą bańką mydlaną, której kolory tęczowe zwiodły teoretyków, spragnionych harmonii społecznej. Nacisk, wywierany na odbiorców i dostawców, gwałt dokonywany na publiczności, spożywającej artykuły syndykatowe, jak np. węgiel lub cukier, musiały z natury rzeczy wywołać oburzenie. Prasa, broniąca interesów handlu i rzemiosła, niejednokrotnie żądała od sfer urzędowych ukrócenia swawoli magnatów spekulacyi. Zwłaszcza podczas przeszłorocznej drożyzny węgla opinia publiczna, przeczuwając w tem sprawę syndykatów, domagała się środków energicznych. Ale syndykaty zapewniały gorąco, iż wina spada wyłącznie na strejkujących wciąż robotników, a rząd, biorąc w obronę napastowanych, zdobył się zaledwie na zakaz wywozu węgla. Po za tem wszystko pozostało po staremu. Dopiero gdy wszczęła się walka o cła, poseł Gothein oświadczył w imieniu lewicy, iż uważa za zbyteczne występować przeciwko potwornemu smokowi protekcyonizmu celnego, gdyż nawet w razie zgonu znajdzie on niewątpliwie godnego siebie następcę w syndykatach. Nie kijem, to pałką! Wszak spożywcy niewiele na tem zależy, czy go obskubuje taryfa celna, czy też kartel. Z tej racyi należy sporządzić, według metod nowoczesnych, ustną ankietę parlamentarną, w której wszystkie osoby, umyślnie zaproszone, obowiązane byłyby zeznawać podług stawianych im pytań. Zbadanoby między innemi, jak wpływa na koszty produkcyi przemysłu przetwórczego kapryśna i despotyczna polityka karteli, o ile rozwój tych urządzeń przyspiesza proces koncentracyi kapitalistycznej, udzielając jednocześnie bodźca nadprodukcyi. Gothein, o ile mi wiadomo, sam kierownik kopalni, przypuszcza wprost istnienie związku pomiędzy nadprodukcyą a kartelami, wbrew przeciwnym opiniom ekonomistów, upatrujących w kartelach hamulec, tamujący rozpęd i chciwość kapitalistyczną. Minister Posadowsky odparł na wniosek Gotheina tylko tyle, iż rząd posiada w swych archiwach olbrzymi, aż nadto wystarczający materyał w sprawie związków przedsiębiorców. Żadne państwo na świecie nie może się poszczycić takim materyałem.

Jednocześnie kwestyą zrzeszonego wyzysku zajęli się prawnicy. Zjazd przeszłoroczny polecił prof. Waentigowi z Gryfii wypracować gruntowny memoryał co do środków, jakie należy przedsięwziąć. Z góry, niestety, narodziła się mysz. Ogłoszona już w tym przedmiocie praca Waentiga, która zresztą zostanie wzięta pod obrady na tegorocznym kongresie prawniczym (w jesieni); naprzód rysuje nam tradycyjnie Janusową twarz syndykatów, dalej biada nad tem, iż o ich działaniu i mechanizmie *ignoramus et ignorabimus* i wreszcie dochodzi do przekonania, iż na taką potęgę nie może się porywać społeczeństwo uzbrojone w jeden jakikolwiek środek, lecz musi działać za pomocą całej bateryi środków obronnych.

Rząd nareszcie, jak wspomnieliśmy na początku naszego artykułu, zdecydował się przybrać pozornie energiczną postawę. Rozesłał on cyrkularz do wszystkich prezydentów naczelnych z prośbą, aby podali na

zasadzie swych „aktów“ wiadomości „wyczerpujące“ o syndykatach. Pytania, postawione satrapom, brzmią między innemi jak następuje: Z jakiej racyi powstał syndykat? Jakie wytknął sobie cele? (Kontyngentacya, podział terytoryum rynkowego itd.). Czy kartel jest w zmowie z innymi krajowymi lub zagranicznymi? Czy zachowaniem swem dał powód do powstania innego kartelu (dostawców lub odbiorców)? Czy usiłował osłabić nadprodukcyę? Jak wpłynął na ceny rynkowe? Jak oddziałał na zdolność konkurencyjną swej gałęzi przemysłu? W jakim stosunku pozostają ceny, żądane przezeń w kraju, do cen, pobieranych za granicą? Czy udzielał premij wywozowych? W jaki sposób zwalczał współzawodników, stojących po za obrębem kartelu? Jak zachowywał się względem swych robotników i jakich używał środków do wywarcia na nich nacisku? Czy zmuszał do wystąpienia ze stowarzyszeń zawodowych lub stronnictw politycznych?

Naczelni prezydenci dotychczas milczą, ale za to kartele dały bardzo wymowną odpowiedź: powstał „Kartel karteli.“ Syndykaty zatem nie myślą wypuszczać z rąk zagarniętego łupu — wyzyskiwanego społeczeństwa. Zamierzają one dalej igrać z rynkiem, nakładać nań ceny dowolne, obciążać go daniną na korzyść uprzywilejowanej zagranicy, trzymać w postrachu odbiorców węgla i żelaza itd. Widzieliśmy z drugiej strony, iż dzięki kartelom, przedsiebiorca, jako czynnik moralny, stał się zerem i kategoryą zupełnie zbyteczną dla ogółu. Z tych dwu przesłanek wypływa prosty wniosek wywłaszczenia wywłaszczycieli. *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam.* Nastąpi dzień, kiedy państwo, zniewolone do tego najżywotniejszymi interesami ogółu, będzie musiało zająć miejsce „Kartelu karteli.“

H. Forszteter.

FEJLETON.

Na Martynice.

Po wieloletniej drzemce budzą się wulkany i poczynają mruczeć, chrząkać, spluwać i ziewać. Przeciągają się, niby starce, które zawsze budzą się powoli, ale za to długo potem usnąć nie mogą. Ludzie zapominają o ich istnieniu, jak myszy o istnieniu kota.

Nad wulkanem Mont-Pelée powiewał już od kilku dni groźny pióropusz dymu, ale w St. Pierre nikt go nie widział. Ziemia grzmiała posępnie, ale nikt jej głosów nie słyszał. Nie ma się poprostu czasu na takie rzeczy w dzisiejszej formie życia społecznego. Mały człowiek jest zajęty ważeniem pieprzu, kawy i soli; mniej mały człowiek — kupowaniem pieprzu, kawy i soli; trochę większy człowiek — lombardowaniem pieprzu, kawy i soli; porządnie większy człowiek — pisaniem książek o rocznem spożyciu pieprzu, kawy i soli; a największy człowiek zajmuje się zagadką bytu—spożywców pieprzu, kawy i soli. Gdzie tu czas oglądać się, czy pod miastem nie kopci jaki wulkan!

Pieprz, kawa i sól pochłaniają uwagę ludzi mniej małych, trochę większych, porządnie większych i różnych największych. Ale są sprawy, które jeszcze bardziej pochłaniają uwagę ludzką. Sprawom tym poświęcała się prawdopodobnie znaczna część świętej pamięci obywateli nieistniejącego dziś miasta St. Pierre. Napewno nie miał czasu podpatrywać symptomatów wulkanicznych adwokat, skupujący wątpliwe weksle, sędzia śledczy, zajęty szukaniem matki podrzutka, radca wstrzemięźliwości, uprawiający pokątnie lichwę, lekarz, poświęcający się zachowaniu w wiecznem dziewictwie niezamężnych mężatek, sklepikarz, fabrykujący ulepszone masło, rzeźnik, wydymający cielęcinę, i wszelki bliźni, który czerpie swój byt z nieszczęścia współbliźniego. Tacy ludzie nie słyszą gromów na niebie, kataklizmów na ziemi, nie słyszą głosu własnego sumienia, a mieliby słyszeć jakieś tam pomruki, rozlegające się pod ziemią!

W chwili, kiedy sąd skazywał wyrodną matkę, kiedy lekarz zapewniał chorego, że pożyje jeszcze lat czterdzteści, kiedy lichwiarz wchodził z komornikiem do dłużnika, aby zrobić zajęcie, kiedy mędrzec zastanawiał się nad stosunkiem subjektu do objektu, a rajcy miejscy asygnowali sumę na ognie sztuczne, które miano spalić podczas zapowiedzianej uroczystości, wulkan zawył głośniej, chmury czarnych popiołów pokryły niebo, zamieniając dzień w noc, pełną przerażenia; lunęły potoki ognia, czerwonych kamieni, posypał się grad płonących złomów i, niby z gotującego się garnka olbrzymiego, buchnęła lawa, pokrywając gorejącym całunem śmierci adwokatów, komorników, sędziów, dłużników, wierzycieli, rajców, sklepikarzy, myślicieli, autorów, ich książki, ich domy, kasy ogniotrwałe, składy pieprzu, kawy, soli i stosy programów zapowiedzianej uroczystości, na których jeszcze nie zaschła farba drukarska.

Wygląda to tak, jak gdyby służąca zalała ukropem rój much, który obsiadł plaster miodu.

Człowiek, ów dwułokciowej wielkości pan stworzenia, który błyskawicą telegrafu opasał ziemię, przewiercił tunelami Alpy, rozsadził góry i wedle swego upodobania zmienił kierunek rzek, czuje się nagle w swych prawach zagrożonym. Jemu już się zdawało, że szczytem zagadnienia doczesnego jest utworzenie wielkiego trustu, zdobycie porządnej kolonii na Dalekim Wschodzie lub poskromienie w domu stronnictwa, przeciwnego trustom i koloniom. On, który nie mógł znaleźć dowodu na istnienie świata, topi się nagle jak mucha w wulkanicznym ukropie. Wracają czasy Sodomy i Gomory. Tylko czeluść płomienna pochłania niesprawiedliwych razem ze sprawiedliwymi, a współczesny uczony z ledwie dostrzegalnym uśmiechem gorzkawej ironii zagląda do podręcznika geologii, aby przynajmniej poznać prawa, według których ma zginąć.

I tem się różni dzisiejszy człowiek od człowieka dawnego, o ile całej duszy swojej nie kładzie w pieprz, kawę, sól, trusty i idee kolonialne. Wystarcza mu poznanie praw, według których powstał i ma zginąć. Nic traci bynajmniej pogody umysłu, choć życie jego może jako bańka mydlana prysnąć za lada powiewem. Chciałby tylko, aby ta bańka w czasie króciuchnego bytu swego zajaśniała świetną tęczą wszystkich barw, a nie niosła na swej powierzchni jedynie pyłu towarów kolonialnych i osadów etyki kolonialnej.

Historya postępu myśli ludzkiej jest ciągłem odsuwaniem człowieka ze środka świata na plan odleglejszy, coraz dalszy i dalszy. Naprzód zdetronizowała go astronomia, potem zoologia. A jednak człowiek ten, naturalnie w swych lepszych egzemplarzach, bynajmniej nie żałuje czasów, które go uczyły, że słońce zostało stworzone na to, aby go grzało, a sarny na to, aby je zjadał. Z takim światopoglądem królewski pan stworzenia wyglądał jak wójt, któryby, sądząc chłopów w kancelaryi, wdział koronę na głowę i wziął berło do ręki. W owych naiwnych czasach człowiek nie był panem stworzenia, ale mandarynem stworzenia. Dziś posiada on daleko więcej majestatu, zdając sobie sprawę ze swej znikomości, i doprawdy daleko więcej rozumu.

Andrzej Niemojewski.

PAMIĘTNIK.

Nareszcie.

Gdyby Akademia krakowska chciała być szczerą i konsekwentnie krakowską, a co najwyżej galicyjską, nie dziwilibyśmy się jej składowi, w którym, obok poważnych uczonych, zgromadzono stadko drobiu, prawie wcale nieznanego po za miejscem jego pobytu. Trudno, czem chata bogata, tem rada. Ale Akademia nie chce pozostać w granicach krakowskich, a nawet galicyjskich i od czasu do czasu przybiera sobie za niemi jakiegoś członka. Trzeba jej przyznać słuszność, że i wówczas starannie baczy, aby ów członek swą barwą jak najbliżej podchodził do głównego koloru tog akademickich — stańczykowskiego. Dzięki temu probierzowi wyłowiła ona u nas wszystkie białe lub czarno-żółte pawie, chociaż niektórym z nich tak nie śnił się ten zaszczyt, jak nie śniła się godność króla koreańskiego. Natomiast omijała i omija z trwogą lub wstrętem badaczów i literatów, którzy swoją sławę obrąbili bodaj cieniutkiem pasemkiem nieprawomyślności. I oto nadchodzi niespodziewana wiadomość, że w ostatnich wyborach powołano na członków Akademii T. Korzona i P. Chmielowskiego. Pierwszy nie był jeszcze dla Stańczyków jeżem z tak długimi kolcami, jak drugi. Czy osądzono, że Chmielowski przez paroletnie mieszkanie w Zakopanem odwietrzył się, odkaził, *zgalicyonował*, czy też uznano, że lekceważenie pisarza wielkiej zasługi zaczyna być gorszącem, dość że przyłączono go do grona „nieśmiertelnych.“ Ciekawi jesteśmy, ilu też w tem gronie znajduje się ludzi, którzy przeczytawszy całkowitą liczbę członków i pomyślawszy, że na niej Korzona i Chmielowskiego zapisano dopiero w r. 1902, uczuli wstyd lub... parsknęli śmiechem?

Co to znaczy?

Nie dziwimy się, gdy reporter używa najrozmaitszych środków, często bardzo wybrykowych, w celu osiągnięcia ostatecznego rezultatu, tj. zdobycia szybkiej i dokładnej wiadomości dla swego dziennika. Różni reporterzy, ubiegając się o to, występowali chwilowo w rolach kucharzy, lokajów, furmanów, czasem rzezimieszków, a nawet samobójców itp. Nie domyślamy się jednak, jakie usługi dziennikarstwu miało oddawać występowanie współpracownika pewnego pisma codziennego w roli podstawionego licytanta? Niedość, że w organie, z którym jest związany, pisywał codziennie „gorące“ wzmianki o trwającej przez jakiś czas licytacyi, która z wielu względów zasługiwała raczej na potępienie, a nie na bezpłatną reklamę, ale w dodatku zjawiał się między publicznością i podbijał ceny. A gdy czasem nie spostrzegł się i przypadkiem został „szczęśliwym“ nabywcą, to na drugi dzień najspokojniej wystawiano ten sam przedmiot do ponownej licytacyi. *Sapienti sat.*

Dotychczas na słomianych licytantów wynajmowano chałaciarzy z Pociejowa, lecz od dziś podejmują się tej roli niektórzy współpracownicy pewnych dzienników warszawskich.

Uzupełnienie.

Przed dwoma tygodniami, mówiąc na tem miejscu o dziwnym dosyć z pozoru wyniku wyborów na członków Warsz. Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego, rzuciliśmy

szereg pytań, na które niebawem napływać zaczęły odpowiedzi. W ich świetle omawiane wówczas odnowienie zarządu nie wydaje się już ani tak niespodziewanem ani tak sprzecznem z prawami logiki, jak można było sądzić na zasadzie jednostronnych sprawozdań pism codziennych.

Nadesłano nam dokumenty, z których okazało się, że jeszcze w lutym r. b. *większość* przedstawicieli Towarzystwa domagała się usunięcia od obowiązków wszystkich członków dawnego zarządu, zarzucając im niedbałe i nieumiejętne zajmowanie się sprawami powierzonej im instytucyi, stratę przez niedbalstwo i niedozór przeszło 1000 rub. z rachunku wkładów, nieumiejętne i nietaktowne postępowanie z urzędnikami i szereg innych niewłaściwości... Sam fakt, że prezes, urzędując jeszcze gdzieindziej, mógł w czasie biurowym zaledwie pół godziny dziennie spędzać w kancelaryi Towarzystwa, a mając sam jeden klucze od kasy ogniotrwałej, narażał interesantów na kilkogodzinne wyczekiwania, jest już dostatecznym argumentem, przemawiającym za potrzebą zmian w składzie ciała kierowniczego, które w taki sposób wywiązywało się z przyjętych obowiązków.

Żądanie usunięcia wszystkich trzech członków dawnego zarządu powtórzone zostało przez część przedstawicieli w podaniu, wniesionem do Rady Towarzystwa w kwietniu, a wynik wyborów, które wkrótce potem nastąpiły, był tym sposobem naturalnym skutkiem usprawiedliwionego niezadowolenia większej części członków Towarzystwa z działalności panów kierowników.

Do jutra.

Sprawa powszechnej wystawy krajowej, wobec dzisiejszych dążności ekonomicznych, należy niewątpliwie do najważniejszych i najpilniejszych. Jeżeli mamy odgradzać się od tandety niemieckiej i popierać własny przemysł, wiedzmy przynajmniej, jakie posiadamy środki walki, jakie mamy widoki zwycięztwa i jakie do niego mogą nas zaprowadzić drogi. Inaczej sądzą członkowie sekcyi rolnej, którzy na ostatniem posiedzeniu jednogłośnie i bez wszelkich rozpraw i uwag uchwalili, że wystawa powszechna jest wprawdzie bardzo pożądana, ale z różnych względów należy odłożyć ją... na lat cztery. Z powodu tej uchwały *Gazeta Polska* przypomina, iż dwa lata temu wszystkie sekcye oświadczyły się za wystawą, lecz odłożyły ją na lat 3, 4, 5... W ten sposób sprawa da się odraczać do nieskończoności.

Trudno o jaskrawszy dowód ospałości umysłowej. Można być przeciwnikiem wystawy, wypowiadać przeciw niej dowody mniej lub więcej przekonywające, jak to uczynił np. prof. Boguski na ostatniem posiedzeniu sekcyi chemicznej; każde przekonanie umiemy uszanować. Ale odroczyć „do jutra", byleby dziś tylko nie zaprzątać sobie głowy, to już niedołęstwo duchowe bez miary. To nasza odwieczna wada: my umiemy dać się pożreć, byleby nas tylko nie przebudzono. A budzimy się najczęściej, gdy już zapóźno — w żołądku pożercy. *g.*

Nieludzki sposób.

Rubryka wypadków w pismach codziennych, obok opisów kradzieży, pożarów, oraz wszelkiego rodzaju uszkodzeń cielesnych przy pracy, z sakramentalnym dodatkiem: „z własnej nieostrożności", podaje niekiedy ciekawe fakty, stanowiące jaskrawy wyraz potrzeb społeczeństwa w tym lub innym kierunku. Od pewnego czasu coraz częściej zdarza nam się czytać o wypadkach porzucania chorych na ulicy w celu zniewolenia Pogotowia Ratunkowego do zabrania ich i umieszczenia w jednym ze szpitali, do których w zwykłych warunkach wstęp najeżony jest dla całych warstw ludności nieprzezwyciężonemi niemal trudnościami. Wśród porzuconych tak chorych zdarzają się często mieszkańcy prowincyi, którym trudniej jeszcze, niż warszawiakom, zdobyć zamknięte wrota przepełnionego zawsze szpitala.

Kuryer Warszawski, lubiący ze zwykłą sobie szybkością i nieomylnością rozstrzygać różne zawikłania społeczne, nazywa wypadki powyższe *nieludzkim sposobem* traktowania chorych. Na epitet zgodzilibyśmy się w zupełności, niebardzo tylko wiemy, do czyich piersi przyczepić hańbiący klocek z tym napisem, pod czyim go wysłać adresem. Czy bardziej „po ludzku" postąpiłby ubogi wieśniak z Koziej Wólki lub uboższy jeszcze mieszkaniec sutereny warszawskiej, wracając do domu z chorym tyfusowym, którego mu w żadnym szpitalu, z braku miejsca lub dowodów potrzebnych, przyjąć nie chciano, i pozwalając zarazić się chorobą reszcie rodziny? Nie sądzimy.

Z wypadków podobnych, zdaniem naszem, możnaby wyciągnąć jeden tylko wniosek, że liczba i rozmiary szpitali obecnych w rażący sposób nie odpowiadają wzrastającym z rokiem każdym potrzebom i że ta sprawa paląca domaga się wielkim głosem szybkiego i skutecznego załatwienia. *b.*

Warszawa w ciemności.

Firma niemiecka Schuckerta uzyskała zezwolenie na elektryczność w Warszawie. Obecnie wychodzą na jaw rzeczy smutne. Okazuje się, iż p. S., wbrew warunkom umowy, myśli o zaprowadzeniu elektryczności tylko w śródmieściu. I stanie się, że kiedy za lat trzy wyjdzie kontrakt dessauskiego Towarzystwa gazowego, znaczna część Warszawy może zostać pogrążoną w ciemnościach egipskich.

Starożytne podanie kronikarskie o Leszkach, wyścigach i gwoździach daje się tu zastosować, wprawdzie nie do Polaka, lecz, co od wieków było o wiele trafniejsze, do — Niemca: p. Schuckert pozbył się swoich współzawodników, a teraz chce nas pozbawić tego, co nam się z prawa należy. Słychać, iż sekcya techniczna zajęła się tą sprawą i wybrała osobną komisyę w celu jej szczegółowego zbadania. *h.*

BADANIA NAUKOWE.

POWSTAWANIE STYLÓW
Z GOSPPODARSTWA SPOŁECZNEGO.

> L'unité des efforts de l'homme
> est l'attribut:
> Tout est la même flèche et frappe
> au même but!

Aforyzm powyższy wygłosił Wiktor Hugo w świetnym swym utworze, zatytułowanym: „Odpowiedź na akt oskarżenia." Oskarżał go jakiś krytyk o „spustoszenie starego abecadła," czyli — o naruszenie nietykalnych, akademickich przepisów stylu i prozodyi. Mistrz nietylko nie zapiera się tego grzechu, ale przeciwnie, uwydatnia całe znaczenie spowodowanego przez siebie „roku 93 w gramatyce." „Zawiał — mówi — dzięki mnie, i w tej dziedzinie duch przewrotu. Włożyłem czerwoną czapkę staremu słownikowi! Niema już wyrazów: senatorów i wyrazów: chamów. Wśród popłochu cieniów pomieszałem z czarnym ludem słów biały rój myśli. Zdobyłem i zburzyłem Bastylię rymów. Zniszczyłem tę etykietę, której prozodya na imię." A czemu? „Bo w ten sposób *ruch dopełnia swego działania.* Dzięki tobie, święty postępie, Rewolucya dźwięczy dzisiaj w powietrzu, w głosie, w książce; w słowie, co życiem drga, czuje ją czytelnik; krzyczy ona, śpiewa, naucza, śmieje się; rozpętana została jej mowa, tak samo jak duch." Przy tem przystosowywaniu języka literatury do głębokiego przewrotowego ruchu społecznego nie brak — rzecz charakterystyczna! — i *retrospekcyi*: „Skruszyłem — woła z dumą poeta — wszystkie żelazne okowy, które więziły słowo ludowe i wyprowadziłem z otchłani upiorne legiony starych, potępionych wyrazów!" Wewnętrzną zaś racyę tego wszystkiego Wiktor Hugo uważa właśnie w przytoczonym na wstępie dwuwierszu: „*Jedność* jest cechą wysiłków człowieka: w jeden cel wszystkie wymierza on strzały!"

Przyjmujemy ten aforyzm za dewizę determinizmu ekonomicznego, tego nawskróś monistycznego pojmowania społeczeństwa. Nietylko etyka, prawo i polityka, ale również filozofia, religia i sztuka, jako wykwit podstawowego stosunku człowieka uspołecznionego do natury, polegającego na przerabianiu natury w celu zaspakajania swych potrzeb, będą w takim razie uzupełnieniem i — w założeniu swem — ułatwieniem owej zasadniczej czynności ekonomicznej, dającej klucz do zrozumienia tych czynności wyższych. Że historya potwierdza ten pogląd, tego, jeśli idzie o etykę, prawo i politykę, dowodzi mnóstwo studyów, to co do filozofii wykazał Ebutheropulos; tego i myśmy próbowali dać kilka przykładów w szkicu p. t. „Muzyka i ekonomia," wyrażając nadzieję, że ktoś specyalnie zajmie się tym tematem. Dziś możemy się podzielić z czytelnikami wiadomością, że przynajmniej historya sztuk plastycznych znalazła już takiego specyalistę, omawiającego rzecz ze stanowiska determinizmu ekonomicznego. Franciszek Feuerherd *) mniema nawet, że jedynie zajęcie takiego stanowiska pozwoli historyi sztuki wyjść ze stadyum, odpowiadającego stanowi nauk przyrodniczych za czasów Linneusza, stadyum zbierania i klasyfikowania, dyletantyzmu i znawstwa mniej lub bardziej gruntownego, i stać się prawdziwą nauką, odkrywającą prawa zjawisk badanych.

Wprawdzie, przyznaje autor, gdy mamy do czynienia z poszczególnem dziełem sztuki lub z poszczególnym artystą, to bardzo często nie zdołamy odkryć wszystkich czynników, które się na twórczość artysty, na powstanie dzieła złożyły, poprostu dlatego, że brak nam sposobów badania stanów wewnętrznych każdej jednostki, z których ona sama nie zawsze zdaje sobie dobrze sprawę. Ale też przedmiotem historyi sztuki, jako nauki, jest co innego: są nim ogólne pojęcia piękna, panujące w danej epoce, w danem społeczeństwie, klasie lub grupie społecznej. Pojęcia takie, wspólne całym grupom, niewątpliwie istnieją: są to właśnie *style* w każdej sztuce, sprawiające, że tylko pewne formy wydają się ludziom danej grupy i czasu pięknemi, inne obojętnemi, a jeszcze inne — przeciwieństwem piękności stylowej, brzydotą, dysharmonią. Otóż — twierdzi Feuerherd — nigdy styl żaden nie powstał z ruchu czysto artystycznego. Niepodobna byłoby zrozumieć, dlaczego w kwestyach takich, co do których nigdy nie odbywano zgromadzeń ludowych i nie ogłaszano uchwał obowiązujących, zjawiała się zupełna zgoda i jednomyślność u wszystkich członków całych społeczeństw lub grup społecznych, gdyby nie zachodził ścisły związek między pojęciem piękna w każdym zakresie a materyalnymi interesami narodu lub klasy. Piękno jest mianowicie wyrazem, dopełnieniem i spotęgowaniem ideału życiowego, etycznego (indywidualnego) lub politycznego (ustroju społecznego). Forma wytwórczości wywołuje więc pewien styl, podtrzymuje

*) Die Entstehung der Stile aus der politischen Oekonomie. Eine Kunstgeschichte von Franz Feuerherd. I Theil. Die bildende Kunst der Griechen und Römer. Braunschweig und Leipzig, 1902.

go i przekształca za pośrednictwem życia politycznego, jego walk i ideałów. Artysta nienawiścią i wstrętem do odmiennych stylów daje wyraz swej, często nieświadomej, solidarności z pewnym ruchem społecznym, który ma zawsze tło ekonomiczne. Prócz tego forma produkcyi oddziaływa jeszcze na sztuki piękne, a mianowicie na sztuki plastyczne, i w inny, bezpośredni sposób: pod względem *technicznym* bowiem sposób wytwarzania dzieł sztuki jest zawsze ściśle zależny od sposobu wytwarzania wogóle *). Ten drugi czynnik ma, zdaniem Feuerherda, ważniejsze znaczenie dla malarstwa i rzeźby, niż dla architektury.

Odrębne właściwości stylów: doryckiego, jońskiego i korynckiego, a przynajmniej dwóch pierwszych, tłomaczono dotychczas różnicami wrodzonemi, rasowemi plemion greckich. Autor nasz na kilku stronicach rozprawia się z tą teoryą, bałamutną, jak wszelkie dogmatyczne psychologie rasowe, wykazując jej rażące sprzeczności. Wbrew gadce o poważnym i stałym charakterze Doryjczyków, a zmiennym i ruchliwym — Jończyków, pierwsi koczowali długo, zanim się osiedlili, podług Herodota pięć razy zmieniali miejsce zamieszkania, Ateńczycy zaś chełpili się, że są jedynym narodem, który nigdy nie zmienił siedziby! Faktem jest, że Jończycy osiedlili się wcześniej, niż Doryjczycy; z tego więc wynikałoby, że styl „plemienny" joński powinienby być wcześniejszym od doryckiego, tymczasem rzecz się miała wręcz przeciwnie. W rzeczywistości architektura każdego z trzech plemion przeszła przez wszystkie trzy style po kolei w miarę tego, jak same te plemiona przechodziły kolejne stadya życia ekonomicznego i politycznego.

Punktem wyjścia historyi sztuki greckiej jest dla Feuerherda stan społeczny, w którym grunty zostały już podzielone między poszczególne rodziny, należące do plemienia, lecz zwartość plemienia, sięgająca czasów wspólnoty rodowej, jest jeszcze bardzo silną i żywą. Podział pracy pomiędzy robotnikami a rzemieślnikami nie istnieje; każdy mąż w plemieniu, nie wyłączając „królów," jest rolnikiem, pasterzem, wojownikiem, kowalem, siodlarzem, cieślą, budowniczym itd. w jednej osobie, kobiety mają inny zakres czynności. Technika rzemiosła wszelkiego jest w tym stanie bardzo jeszcze nizką, narzędzia są niedoskonałe. Nietylko domy mieszkalne, ale i świątynia, ten dom wspólnych przodków plemienia lub rodu, budowany wspólnemi siłami z największym nakładem starania, musiały być z początku z drzewa i cegieł glinianych; jeszcze w późnej epoce rzymskiej przechowywano w Olimpii ostatnią kolumnę drewnianą w świątyni Hery, gdyż kolumny drewniane dopiero potem, stopniowo, zastępowano kamiennemi. Styl dorycki polega też wszędzie na jak największej prostocie budowy. Kolumna wyrasta przeto z podłogi, bez żadnej podstawy, i podpiera też prawie bezpośrednio, za pomocą tylko niewielkiego rozszerzenia, belkę poprzeczną (architraw), na której, nad każdą kolumną, spoczywają belki podłużne. Ich nieco wystające końce zamieniły się później na *tryglify* fryzu, biegnącego nad architrawem. Kolumna jest nieco stożkowata, u dołu rozszerzona — zupełnie jak pnie drzew — co odpowiada zresztą potrzebom równowagi, prawom ciążenia. Wogóle w stylu doryckim widać na każdym kroku ścisły związek między każdym szczegółem, każdą ozdobą a wymaganiami statyki budowlanej; nawet ozdoby późniejsze, naśladujące świat roślinny lub wyobrażające różne narzędzia i wytwory, mają na celu uzmysłowienie czynności i zadania każdej części budowli, jak wykazał Botticher w „Tektonik der Griechen." Ta prostota i przejrzystość dzieła architektury były — zdaniem Feuerherda — wyrazem określonego już pojęcia piękna, które znów wytworzyło się pod wpływem i w zastosowaniu do prostoty i przejrzystości stosunków społecznych; zupełne i wszechstronne panowanie „państwa," czyli wierzeń i uczuć gromady nad jednostką, w połączeniu z tą właśnie prostotą i przejrzystością stosunków, sprawiała, że dla Greka z owych czasów wszelka dowolność, wszelka kapryśność budowli była nieprzyjemną i nieładną. Pogląd ten sprostowalibyśmy nieco w sposób następujący: Z początku budowa jest prosta, ściśle utylitarna i skromna — poprostu dlatego, że inną być nie może przy nizkim stanie techniki. Piękność jej dla człowieka polega głównie na jej przeznaczeniu — podniosłem, religijnem, gdy religia jest kwintesencyą zasad życiowych plemienia. To pierwotne pojęcie piękna nabiera charakteru wyłącznego, staje się *stylem* obowiązującym — dopiero w zetknięciu z dążeniami nowemi; gdy zmiany ekonomiczne, powstanie znacznych nierówności i samodzielnej klasy rzemieślniczej, walczącej z arystokratami-rolnikami o przewagę w państwie, wywołały w tych ostatnich świadome przywiązanie do tradycyi przeszłości, na której opierały się ich przywileje, wtedy charakter dawnej sztuki skojarzył się w umysłach z charakterem dawnego, jeszcze niezupełnie obalonego, namiętnie bronionego i zwalczanego ustroju — uległ *uklasowieniu*.

Stało się to nie odrazu. Oddzielenie zawodu rzemieślniczego od rolnictwa nastąpiło pod wpływem rozwoju i komplikacyi techniki, a zarazem — wzrostu nierówności społeczno-ekonomicznej. Gdy podział gruntów przestał być peryodycznie poprawiany, jedne rodziny stały się bogatszemi od innych; rodzinom uboższym a liczniejszym zawód rolniczy przestał wystarczać; część ich członków oddała się wyłącznie rzemiosłu. Rzemieślnicy ci pracują swemi narzędziami, lecz materyału dostarcza im pan, zamawiający pracę; pracują w jego domu, pod jego dozorem. Jeśli idzie o budownictwo, to pan, a przy budowlach publicznych — król, zachowuje tu jeszcze całe kierownictwo pracą, właściwą czynność *architekta*; rzemieślnik jest wykonawcą, pomocnikiem; Iliada np. mówi o tem, że Hektor zbudował sobie pałac sam, z najzręczniejszymi w sztuce ludźmi z całej okolicy Troi. Z początku ci rzemieślnicy pracują jeszcze w swoim rodzie, są równouprawnionymi, choć uboższymi rodowcami; pan szanuje ich. Lecz z czasem zaczynają wędrować w poszukiwaniu zajęcia, osiedlają się po za granicami swego rodu, w ludnych ośrodkach ruchu, komunikacyi. Tam nie są już rodowcami, lecz obcymi, wyzutymi z praw przybyszami. Miejscowi eupatrydzi gardzą nimi i ich pracą, choć jej potrzebują, tem bardziej, że pogłębiła się przepaść majątkowa. Wkrótce zaczyna się między eupatrydami a rzemieślnikami walka, antagonizm ekonomiczno-społeczny, a na tym gruncie — i artystyczny.

W miastach, które, jak Milet, Efez z jednej, Ateny z drugiej strony, są dobrymi punktami handlowymi, gdzie przytem, jak w Attyce, ziemia niezbyt urodzajna sprzyja rozwojowi rzemiosła, obok rolnictwa, rzemieślnik wzbogaca się i staje samodzielnym; pracuje we własnym domu, własnemi narzędziami, z własnego materyału, na zamówienie lub na rynek. Z początku rządzący eupatrydzi popierają nawet rozwój rzemiosła i handlu, bo opłaty powiększają dochody państwa. Lecz wkrótce wzmocniony stan rzemieślników i kupców rozpoczyna walkę o prawo: bezpieczeństwo ich własności, owocu ich pracy, może być im zapewnione jedynie przez nowe prawo, zastosowane do potrzeb wymiany i równe dla wszystkich mieszkańców i przybyszów, tymczasem rodowcy-eupatrydzi obstają przy starem prawie rolniczem, utrudniającem wymianę i nie dającem jej opieki, lecz strzegącem ich przywilejów. Drobni, zubożali rolnicy, płacący eupatrydom za długi $^5/_6$ dochodu z zastawionej ziemi, sprzyjają w rozpoczętej walce rzemieślnikom. Zjawiają się „tyrani" lub sędziowie-dyktatorzy, jak np. Solon, którzy dokonywują reformy prawa. Za ich pośrednictwem najpierw, a później i—bezpośrednio, w formie doskonałej demokracyi, ogół, lud pracujący z rzemieślnikami na czele, dochodzi do władzy państwowej.

Usamodzielnienie rzemiosł, jako wyłącznego zawodu, związane było z coraz większem udoskonaleniem technicznem. Rzemieślnicy przy budowie świątyń i gmachów mogą już i z natury rzeczy chcą stosować ozdoby różne, czemu z początku panowie, kierownicy budowy, nie przeszkadzają; stąd pochodzą różne późniejsze, przejściowe i wieczyste przejawy stylu doryckiego. Gdy jednak zawrzała walka, gdy eupatrydzi zaczęli gardzić rzemieślnikami i nienawidzieć ich za dążenie do rozkładu ich tradycyjnie prostych praw społecznych, wtedy zaczęli też oni świadomie bronić swego tradycyjnego stylu przeciw zmianom, które im się teraz wydają psuciem dawnej czystości i prostoty przez ludzi niepowołanych. Często tak w dziejach filozofii i sztuki nawyknienia i wierzenia, powstałe odruchowo pod wpływem natury, łączą się później w jedno z antagonistycznemi dążeniami społecznemi. Tu i rzemieślnicy z kolei, nauczywszy się kierować budową i roszcząc sobie do tego prawo wskutek świadomości swej przewagi technicznej, zaczynają gardzić sztuką eupatrydów, niezdolnych już do zrozumienia i opanowania nowej techniki. Rzemieślnicy stwarzają styl joński. Kolumna jońska, wysmuklejsza, wyższa, ma kapitel w formie jakby poduszki, podłożonej pod ciężar belkowania, co świadczy o wydelikaceniu potrzeb, o wzroście komfortu życiowego, lecz przedewszystkiem ma ona podstawę, oddzielającą trzon kolumny od ziemi, podstawę kilkustopniową, złożoną ze żłobkowań wklęsłych i z wypukłości, z których najwyższa ma obwód dolny mniejszy, czasem dość znacznie, od górnego, co bardziej jeszcze uwidocznia wyzwolenie się kolumny od łączności z ziemią. Feuerherd widzi w tem znów symbol artystyczny wolności, do której dążyli artyści-rzemieślnicy w zakresie społecznym. Trafniejszem będzie, zdaje się, mniemanie, że ozdoby te powstały bez celu społeczno-partyjnego, wprost pod wpływem doskonalącej smak wyższej techniki, a potem dopiero stały się stylem, normalnem pojęciem piękna walczącej klasy, przeciwstawianem tradycyjnemu stylowi, który wydał się teraz ciężkim i krępującym, jak agrarno-arystokratyczne prawa. Styl nowy zaczął naprzód być używany w grobowcach, gdyż budowa świątyń i gmachów publicznych pozostawała jeszcze przez pewien czas pod władzą przeciwnych mu eupatrydów.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

*) To samo rozróżnienie dwóch stron sztuki: jako części produkcyi materyalnej i jako *etyki instynktów*, zrobiliśmy w naszych pracach: „Czem jest materylizm ekonomiczny?" i „Muzyka i ekonomia" (*Prawda*, r. 1901, nr. 37—39, r. 1902, nr. 1—2.

PITHECANTROPHUS ERECTUS.

Hipoteza naukowa.

Podług prof. Lindley M. Keasbey.

Przypuszczenia antropologów, że człowiek istniał już pod koniec okresu trzeciorzędowego zostały niedawno potwierdzone. Dr. Eugeniusz Dubois odkrył w pokładach plioceńskich, na wschodzie wyspy Jawy—kawałek czaszki i pewne czę-

ści szkieletu, które po dokładnem zbadaniu okazały się niezaprzeczenie szczątkami ludzkimi. Z tych resztek wnosić można, że już wówczas praszczur człowieka, znany w nauce pod nazwą *Pithecanthropus erectus*, a mający stanowić ogniwo przechodnie, przedstawiał znaczny stopień rozwoju tak pod względem umysłowym, jak fizycznym.

Warunkiem wyższości umysłowej jest objętość czaszki i zwojów mózgowych. Jak wiemy, kość ciemieniowa u małpy i u człowieka pozostaje niezrośnięta przez pierwszy okres młodości, bardzo zresztą krótki u małpy, bo nie przekraczający roku pierwszego. Dopóki ten szew pozostaje otwarty, objętość czaszki może się rozszerzać, jego zrośnięcie kładzie kres powiększaniu się czaszki, a co za tem idzie i mózgu. Powierzchnia jego u człowieka przeciętnego jest cztery razy większa od powierzchni u małpy. Otóż, jeśli w szeregu, odpowiadającym stopniowemu wzrostowi rozmiarów kości ciemieniowej i czołowej ustawimy czaszki tych zwierząt, to przekonamy się, że choć *Pithecanthropus* ma stanowić przejście od małpy wyższej do człowieka współczesnego, to jednak między nim a tą małpą brak jeszcze bezpośredniego łącznika. Od *Pithecanthropusa* w prostej linii pochodzą ludzie, których czaszki odnaleziono w czwartorzędowych pokładach Europy, ich zaś dopiero następcami są dzicy najniższych, obecnie żyjących, plemion. Ślady, pozostawione na wewnętrznej części czaszki *Pithecanthropusa*, odnalezionej na Jawie, świadczą, że powierzchnia jego zwojów mózgowych była dwa razy większa, od powierzchni największego mózgu małpiego, a w stosunku do człowieka współczesnego różnica ta nie wynosiła połowy, zwoje zaś odznaczały się kształtem i zupełnem podobieństwem do form mózgu ludzkiego. Stąd wnosić można, że ta istota z formacyi plioceńskiej różniła się już bardzo od małpy i posiadała dużo właściwości umysłowych człowieka.

W kierunku fizycznym te różnice uwydatniają się jeszcze silniej. Z kształtów kości biodrowej, odnalezionej obok czaszki, widocznem jest, że *Pithecanthropus* trzymał się już i chodził w postawie prostej—nóg używał jako narzędzi ruchu, a rękami nacznie już pewnie skróconemi, posługiwał się do brania przedmiotów. Tymczasem małpy, nawet należące do najwyższych gatunków, chodzą na czworakach, żyją przeważnie na drzewach, a ręce i nogi mają zastosowane do czepiania się i wieszania po gałęziach.

Jaką jednak drogą wytworzyły się u *Pithecanthropusa* te różnice? Drogą ogólnej, naturalnej dążności do ustalenia i przechowania tego, co jest pożyteczne, a pozbycia się właściwości bezużytecznych, nawet szkodliwych w przystosowaniu się do warunków otoczenia. W tym względzie decydująco działają dwa czynniki: naprzód to wszystko, co zapewnia zwierzęciu większe zabezpieczenie od nieprzyjaciół, powtóre to, co mu daje możność lepszego przeżywienia się. Otóż, nie zdaje się, żeby przeniesienie siedziby z drzewa na ziemię i przyjęcie postawy prostej dawało *Pithecanthropusowi* jakąkolwiek nad małpą przewagę w kierunku większego bezpieczeństwa; przeciwnie, tracił bowiem łatwe i dla wielu swych przeciwników niedostępne schronienie, którego sprawnością nóg w ucieczce zastąpić nie mógł: przewaga musiała przeto znajdować się po stronie lepszego, obfitszego i bardziej urozmaiconego pokarmu. Istotnie, przebywając na drzewach, żywił się wyłącznie owocami, po zejściu na ziemię do poprzedniego pożywienia dodał korzonki i jagody, a z postępem czasu ryby i mięso—stał się wszystkożernym. Takie przystosowanie się do warunków zauważyć można i u niektórych małp. Goryl np. nie gardzi jajami i mięsem ptasiem, smakują mu również mniejsze ssaki i płazy, a nawet trupy większych zwierząt. Tylko to, co u małp jest objawem przypadkowym, *Pithecanthropus* przyswoił sobie na stałe—i tak zdobył przewagę nad innemi. Nie przyszło mu to jednak z łatwością. Nową siedzibę, do której się przeniósł, znalazł zajętą; dotychczasowi jej władcy nie byli prawdopodobnie skorzy do ustępstw; czekała go więc walka, do której fizycznie odpowiednio uzdolnionym nie był. Po swych przodkach wziął tylko mózg podatny do rozwoju, a zmiany w ustroju, spowodowane przystosowaniem się do nowych warunków bytu, czyniły go słabszym wobec drapieżnych przeciwników: na drzewach nie umiał się już wieszać, szponów lub pazurów nie posiadał i w biegu nie był dość szybki. Instynkt przeto podszepnął mu nowe środki samo-obrony: nauczył się uderzać i rzucać pociski. Niektóre małpy umieją to także: goryl i szympans znają wartość kija, a orangutang potrafi łamać gałęzie i rzucać je na swych prześladowców. *Pithecanthropus* i w tem jednak miał niełada trudność do zwalczenia: musiał nauczyć się uderzać i miotać pociski celnie. Zdobycie tej wprawy kosztowało go zapewne sporo czasu. Wielkiem ułatwieniem w tym względzie był odziedziczony po przodkach wzrok niezmiernie bystry. Gdy okiem badał przestrzeń, uchem nadzwyczaj czujnem, także po przodkach odziedziczonem, wsłuchiwał się w najlżejszy szelest, ostrzegający o zbliżeniu się wroga. Te dwa zmysły u wszystkich ludów dzikich są zawsze niesłychanie wysubtelnione. Tak uzbrojony mógł już wystąpić do walki ze zwierzętami drapieżnemi i w końcu stać się panem lasu.

To ostateczne wyodrębnienie się rodzaju ludzkiego według wszelkich przypuszczalnych danych mogło nastąpić w okresie trzeciorzędowym, na terytoryum indo-malajskiem; tu bowiem żyją dotychczas najwyżej rozwinięte gatunki małp człekokształtnych. W następnym okresie szczątki ludzkie znajdujemy już licznie rozsiane po wszystkich zakątkach ziemi. Tej wędrówce pierwotnego człowieka sprzyjało prawdopodobnie ówczesne ukształtowanie powierzchni ziemi, a wywołały ją przypuszczalnie warunki klimatyczne—kilkakrotne wtargnięcie lodów. Kolejno zalegały one obie półkule: północną i południową, przesuwając równik termiczny daleko poza linię geograficznego, i zmuszając wszelkie życie organiczne do ustępowania w tym samym kierunku.

Pierwsze najście lodów na półkulę północną zatrzymało prawdopodobnie ówczesnego człowieka w cieplejszem schronieniu indo-malajskiej jego ojczyzny. Himalaje zamykały drogę na północ Azyi, a łącząc się z pobocznemi pasmami gór innych, ograniczały wędrówkę do wschodnich i zachodnich przestrzeni. Te góry dawały także niżej położonym lądom południowym zabezpieczenie od wzrastającego zimna północy. A lądy wyglądały wówczas nie tak, jak dzisiaj. Indye i Afryka były połączone od zachodu; do Europy wchodziło się z Afryki przez dwa lub więcej międzymorza; półwysep Malajski połączony był z Australią pasem ziemi rozbitym dziś na oddzielne wyspy: Sumatra, Borneo, Jawa; lądy Nowej Gwinei i Australii dotykały do siebie: na tym olbrzymim szmacie ziemi człowiek pierwotny miał otwarte, wolne przejście suchą nogą na zachód do Atlantyku i na wschód przez dzisiejsze obszary Oceanu Spokojnego. Nastanie okresu lodowego na półkuli południowej pchnęło wędrówkę ludzi bardziej na północ. Po bokach gór zwartą masą zajmujących jej środek, biegły, przejścia na zachód do Europy i na wschód do Azyi. Tą drogą wzdłuż pobrzeży Atlantyku i Oceanu Spokojnego pierwsi wędrowcy poszli na północ, gdzie Europa, Azya i Ameryka połączone były pasami ziemi, dziś przez morze zatopionymi; a stąd dopiero przedostali się na półkulę zachodnią. Tu Anglia stanowiła jeden ląd z resztą Europy, i według wszelkiego prawdopodobieństwa połączona była z Islandyą i Grenlandyą. Więc droga wszędzie otwierała się wolna dla przejścia, przeszkód topograficznych nie było, a i klimatyczne, zdaje się, wówczas nie istniały.

Po jaskiniach, w wykopaliskach ziemskich natrafiamy na ślady tych przejść człowieka pierwotnego. U ludów zamieszkujących rozdzielono dziś lądy, znajdujemy cechy, których pochodzenie wytknąć możemy mniej lub więcej namacalnie u dawnego źródła: Indo-malajskiego praszczura. W tej pracy archeologia i etnologia pomaga nam dzielnie. Z odnalezionych szczątków szkieletu *Pithecanthropusa* wiemy na pewno, że ten człowiek z okresu plioceniczneg*o* mógł chodzić, że potrzeba szukania pożywienia zmuszała go do zmiany miejsca pobytu; o tem przekonywają nas szeroko rozrzucone ślady kultury w epoce czwartorzędowej, a geologii dostarcza wskazówek co do kierunku tych pierwszych wędrówek ludzkości.

LITERATURA I SZTUKA.

MARYA KONOPNICKA.

(Dokończenie).

W twórczości Konopnickiej dają się najwyraźniej rozróżnić dwa źródła: z jednego poetka czerpie, że tak powiem, z pierwszej ręki, z drugiego tylko pośrednio, odbijając niejako promienie, które przeszły już raz przez pryzmat innego ducha twórczego. Tu zaliczylibyśmy głównie prozę Konopnickiej, jej rozbiory, studya, a właściwie dzieła poetyckie, których podścieliskiem myślowem i uczuciowem jest twórczość jakiejś genialnej jednostki. Wszystko zaś, co po za tem odnaleść można w dziełach wielkiej poetki, zaczerpnięte zostało z pierwszego źródła, zaobserwowane wprost z życia, z przyrody, oparte na własnym poglądzie na świat, własnych zasadach i przekonaniach, własnej duszy.

I w tym dziale twórczości Konopnickiej rozwija się ciekawa linia ewolucyjna. Linia ta przytwierdzona jest do przedmiotów najbliższych, a oddala się wraz z rozwojem talentu poetki. Począwszy od przedmiotu najegotyczniejszego, sprawy kobiecej, aż do najdalszego, a przejawionego w „Italii“ —zawrzeć się daje cała poezya Konopnickiej. Głównymi zaś etapami, na których ewolucya jej talentu się zatrzymuje i pozostawia najsilniejsze ślady, są: kobieta, dziecko, lud, Balcer, Italia. Tu ostateczne ujście.

Rzecz charakterystyczna: ta linia rozwojowa mało zbaczała z głównej drogi chyba tylko wtedy, kiedy Konopnicka przeczuwała, że aby spotężnieć i nabrać nowych ożywczych pierwiastków, trzeba nieco zstąpić na lewo lub prawo—zresztą podążała wprost i śmiało do swego ujścia.

A dalej: myśl twórcza Konopnickiej obejmowała coraz szersze płaszczyzny: przedmiot natchnień poetki rozszerzał się coraz bardziej.

Tak wygląda w najogólniejszych zarysach linia ewolucyjna twórczości Konopnickiej, oczywiście tylko ze względu na poruszane przez nią przedmioty.

Na początku widzimy „przedmiot“: kobieta. Że on nim jest właśnie rzecz naturalna. Bo i cóż mogło budzić większe zainteresowanie w Konopnickiej, niż ta „kwestya“, będąca właśnie na porządku dzien-

nym w czasie wystąpienia poetki na arenę twórczą.

Programowo wypowiedziała się Konopnicka w tej sprawie w wierszu „Do kobiety“. Pominąwszy okoliczność, że sam wiersz, jako taki, nie zawiera tych cech wyższości i skończoności artystycznej, jakie znamionują późniejsze poematy Konopnickiej, że przeciwnie jest jednym ze słabszych jej utworów „Do kobiety“ ideowo musimy uznać za program, hasło, rzucone przez poetkę śmiało i bez zastrzeżeń. Wiersz ten reaguje w dwóch kierunkach: przeciw przekonaniu ogółu, jakoby żona była „sprzętem domowym,“ a powtóre przeciw wytworzonej przez poetów opinii o kobiecie, jako o półbóstwie, istocie wyższej, przeciw niepotrzebnemu jej przepoetyzowaniu.

Oba sądy wykluczają, zdaniem Konopnickiej, wzajemność i równorzędność pracy obu płci. W pierwszym wypadku kobieta jest podporządkowana mężczyźnie, ujarzmiona i poniżona; w drugim niezasłużenie i niewłaściwie wyidealizowana. Wedle Konopnickiej, stosunek płci polegać ma na wzajemnem, na równorzędności opartem uświadamianiu:

Chcę, byśmy lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy w dziedzinie wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości...

A poniżej tej nieuchwytnej, po za sferą ziemską leżącej wspólnoty duchowej małżonków, wije się drożyna dnia powszedniego, szarego bytu ziemskiego. W określeniu tej sfery można poznać całą pełnię sercowych zalet i subtelności kobiecej poetki. Jej

Kocham, to znaczy: chcę w ciemnym zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną;
...Chcę być dla ciebie
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.
...Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.

„Nucić piosenki dzieciątku“—to dalszy etap twórczości Konopnickiej.

A po za nim, a właściwie nad nim, rozpościera się ta sfera, w której uwidoczniają się najbardziej zapatrywania społeczne poetki, szlachetna jej wrażliwość i altruizm. Widnokrąg, na którego obwodzie szybowała kwestya ideowa zindywidualizowana, teraz się rozszerza, uogólnia: społeczeństwo, jako takie, jako organizm składowy, poczyna wkraczać w sferę myśli Konopnickiej, tam się kształtować i ważyć.

I to właśnie wyciska na jej dziełach znamię powszechności. Przedmiotowo nie imała się jej myśl pewnych tylko zagadnień, indywidualnych potrzeb, niedomagań i losów — w umyśle jej stawały dwie, trzy, sto i więcej kwestyj, a stosunek, jaki między niemi zachodził, wypowiadał się w szeregu utworów. Jest to proces nadzwyczaj złożony, a przytem osłonięty grubo mgłą, zakrywającą wewnętrzną i tajemniczą stronę twórczości wogóle. Chcąc wywieść analitycznie, na poszczególnych wzorach, jak to się w duszy Konopnickiej ważyły, zwalczały, stapiały w jedno, identyfikowały i różniczkowały zagadnienia, zajmujące jej umysł i wyobraźnię, musiałbym się oprzeć, wobec niemożności całkowitego i zupełnie pewnego wniknięcia w najskrytsze tajnie duchowe jednostki, bytującej po za mną samym, na hipotezach tylko. A nie chciałbym na lodzie budować! To też mogę jeno najogólniej, na stałych punktach, odgraniczających przełomowe chwile w twórczości Konopnickiej, wykazać tę wielką ewolucyę jej duszy.

Najszerszą obszarowo, a najintensywniejszą ideowo jest w poezyi Konopnickiej myśl o wzajemnem ukształtowaniu się stosunków między poszczególnemi warstwami obecnego społeczeństwa. Czemuż— pyta —

...ta przepaść, która braci dzieli
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany,
A tak straszna, jak otwarte rany?
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — metodę pokoju,
Mędrzec—pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz—pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater—sławę, geniusz—swoje trudy,
Życie—swe prawa i swoje zjawiska,
Duch—swą tęsknotę, dzieje—całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska...
A przecież dotąd pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca!

Na dnie przepaści takiej widział niejeden poeta odbijające się promienie słoneczne, inny wspaniały „temat,“ sam dla siebie wysoce artystyczny i efektownie działający — Konopnicka widzi tam skłębiony wir, piekielny, zawrotny taniec o byt.

W tem tkwi społeczny charakter poezyi Konopnickiej. Nie w tem, że właśnie takie tematy obrała, bo sam obiór tematu wcale jeszcze nie decyduje o charakterze twórczości, acz wielce nań wpływa — chodzi tu głównie o to, w jakiem oświetleniu temat się podaje, jak się go uzewnętrznia.

Konopnicka nadała mu kierunek wybitnie i szlachetnie utendencyowany. Celem jej nie było estetyczne oddziaływanie poematu, lecz jego społeczna wartość, siła gromu, jaki miota, prawdy, którą głosi, dowodu, który wypowiada.

Najbardziej zasadniczą przepaść widziała między ludem a warstwami „wyższemi.“ Mimo tylowiekowej pracy kulturalnej, zapoczątkowanej przez chrystyanizm, poetka nie może odnaleźć dotykalnego wyniku wygłaszanych z namaszczeniem haseł miłości i braterstwa. Czemuż to, mój Boże— zapytuje —

Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora!..
Czemuż to ludzie w przednówek tak bledną
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą,
Choć radby wiedzieć, co tam jest daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką?

Stwierdziwszy zło, opisawszy jego rozmiary, doszedłszy jego przyczyn, poetka nie poprzestała na tem. Boć jej chodziło nie o samo zaznaczenie faktu i zużytkowanie go, jako materyału poetyckiego. Nie mogła zachować objektywności i spokoju obserwatora, dla którego samo badanie jest celem.

Celem dla niej jest poprawa, zbadanie złego — środkiem tylko.

W dusznej atmosferze starć, w trujących oparach przepaści, kędy przewalają się potworne kształty niezharmonizowanej i niesprawiedliwością rozstrzępionej ludzkości— przecudownie przewija się ton subjektywny. Pomiędzy społeczną, przedmiotowo, realnie i bez osłonek opisaną nędzą, przesuwa się niby subtelna, drżąca, ukradkiem się przewijająca wstęga — tęsknota poetki ku światom... Na falach marzeń wspina się ta wstęga tęsknoty dalej i dalej... rośnie i wydłuża się, zatraca coraz bardziej wspomnienie przyziemnych, nizinnych wpływów — oto jest u świątnic ducha, oto oparła się o nieba...

Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzekę pod lodem,
Myśl strzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cisną...

Cała ta ewolucya, od zstąpienia w niziny, od realnego opisu „przepaści“ społecznych, aż do wzniesienia się tęsknotą, wewnętrznem parciem ku słońcu — oto najwspanialszy rozblask poezyi Konopnickiej.

Wewnętrzne, psychiczne jej bóle, znalazły ujście w tym wzlocie ku wyżynom.

A zewnętrznie?

Zewnętrznym równoważnikiem jej bólu była wędrówka po za obszarem, na którym się on plenił, umiejscowiona w „Panu Balcerze“ i w „Italii.“

We wzburzonych falach morskich, pod włoskim lazurem, unosiła się Konopnicka w krainę szczęścia, ekstaz, zapomnień, a z drugiej strony koiła swą zbolałą duszę spokojnem tchnieniem rozwiewnej, niewywołującej bolesnych wspomnień przyrody.

„Pan Balcer“ przedmiotowo jest jeszcze poniekąd powiązany z poprzednią twórczością poetki. Sama osoba, działająca w epopei, zespół figur, tych podlasiaków, Mazurów, Kurpiów, kmieci, dziewek—wszystko to zaczerpnięte zostało z gruntu swojskiego. Lecz nie są to już ci „wolni najmici,“ *glebae adscripti*, nędzarze. Nie. To tylko ich ciało, ustrój psychiczny i fizyczny; to postacie rodzime, przeszczepione na grunt obcy, oświetlone innem zupełnie słońcem. Że Konopnicka uczuła potrzebę wyjścia po za zaczarowane koło, w jakiem myśl jej przykuta była do rodzinnej gleby, rzecz naturalna. Że jednak całkowicie o niej nie przepomniała, że nawet bawiąc myślą po za ziemią rodzimą, wznosząc się na skrzydłach wyobraźni o tysiące mil, wciąż jeszcze widziała postaci Horodziejów, Rochów, Opaczów — to już świadczy o silnie rozwielmożnionem w jej duszy poczuciu przynależności.

Sama się spowiada wyraźnie z tego dążenia ku wytchnieniu:

Piękna to jednak rzecz, niech co chce będzie,
Na własne oczy zobaczyć te dziwa!
Zaś gdy człek wróci i na swojej grzędzie
Roztrząśnie snopa z tych ziem cudzych żniwa,
To choć w pomierzchu i w cieniu usiędzie,
Zostaną po nim te blaski i szkliwa,
I snuć się będą, jak nici pajęcze,
Kiedy w nich słońce zapali swe tęcze.

Jeżeli w „Panu Balcerze“ przewija się jeszcze dawny, niewygasły dotąd motyw, jeżeli nawet samą epopeję uznać można za reakcyę przeciw poprzedniej twórczości, za chęć umiejscowienia tego ludu w lepszem i żywotniejszem otoczeniu, chociażby przyszło na przełaj burzom iść — to „Italia“ i przedmiotowo i podmiotowo wydać się może niepowiązaną zupełnie z tym duchem, który wydał „Jaskółkę“ i „Z szopką.“

Lecz tylko pozornie. Bo naprawdę i „pod włoskiem niebem“ ideowo nie zdołała się Konopnicka wyzbyć trapiących i smutek tchnących w duszę, wspomnień myślowych.

Pozornie „Italia“ wyrażać może szereg świetlanych wizyj o pięknie i bogactwie kultury, szereg apollińskich obrazów i snów, dyonizyjskich upojeń, może uchodzić za szkołę poetyczną, za przykład, jak to w tym boskim zespole przyrody włoskiej poeta uczy się „okrągłość zamykać w wyrazie“; pozornie „Italia“ Konopnickiej jest wytchnieniem dla jej myśli, kąpielą w źródle letejskiem.

Lecz tylko pozornie.

Oto widzicie poetkę np. w Sant' Onofrio:

W pustym krużganku zadumana stoję
Szumi dąb Tassa, jak szumiał przed wieki,
Lecz gdzie są pieśni ogromne? gdzie boje?
Gdzie wodze? gdzie krzyż zwycięztwa daleki?
Cisza...

Widzicie to zadumanie na twarzy poetki? Czujecie, kędy myśl jej ulatuje? Jak przebiega przeszłość, jak się przedziera po przez piekło bólu wzwyż ku łęgom przyszłości? A jak wreszcie przylega do ziemi rodzinnej, jak się przed nią korzy i całuje?

To już nie Italia. To tylko we śnie, pod tchnieniem starożytnej kultury, rozkosznej przyrody, lśniącego piękna— poetka zabawiła z lubością na obczyźnie. Sen o Italii, to tylko hołd złożony w świątyni sztuki, podróż z Balcerem do wolnej Ameryki, to chwilowy upust dla zbolałego serca.

Oto wraca.

Wraca, parta tęsknotą za tą grudą, tymi ludźmi, tym bólem nawet, który jej serce szarpał.

Bo Konopnicka jest prawdziwą córą swej ziemi.

Bertold Merwin.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Zofia Mellerowa: *Wdowa z Efezu*, komedya w 1 akcie; *Zbytdoświadczony*, komedya w 2 aktach.

Wśród komedyopisarzów naszych p. Mellerowa należy do tak zwanych autorek „zasłużonych.“ To znaczy, że przed n+1 laty wystawiła rzecz jakąś, która miała szczęście podobać się publiczności ówczesnej i zjednać sobie względy krytyki. To utorowało jej drogę do sceny i ułatwiło następnie wystawienie szeregu sztuk, mniej lub więcej słabych lub co najwyżej przeciętnych, o których jednak mówiło się zawsze z pewną pobłażliwością, wspominając przy każdej owe „Fałszywe blaski,“ które przyświecały przed laty ojcom naszym i stały na wysokości ich wymagań artystycznych. Od tego czasu powstały jednak nowe upodobania i potrzeby, poziom ich wzrósł znacznie, zmieniła się technika, ale tych rzeczy „zasłużona dla sceny autorka“ nie uwzględniała nigdy i pisze sobie do ostatniej chwili, jak się pisało za dobrych dawnych czasów, operując w swych krotochwilach i komedyach zakurzonymi dobrze szablonami, nie troszcząc się wcale o takie drobiazgi, jak psychologia kreślonych od ręki postaci, prawdopodobieństwo sytuacyj, świeżość pomysłów itd. To wszystko zresztą nie przeszkadza jej zdobywać oklasków i kwiatów od tej szarej, przeciętnej publiczki, która wszystkie zmiany przetrwała i bawi się najlepiej tem właśnie, co zna już wybornie. Autorce nie zbraknie również przychylnych ocen i wzmianek ze strony znacznej części „wpływowej“ krytyki, lubiącej zawsze chwalić i popierać szablon i miernotę, a spoglądać z nieufnością lub przekąsem na wysiłki talentów głębszych, wkraczających śmiało na ścieżki niewydeptane.

Czyż wobec tego można się dziwić reżyseryi, że tych ładnych dekoracyj i malowniczych kostiumów, któreśmy widzieli w teatrze, użyła do wystawienia takiej sobie ramotki scenicznej, jak „Wdowa z Efezu,“ chociaż tym samym prawie kosztem możnaby np. pokazać publiczności „Protesilasa i Laodamię,“ lub który inny z dramatów greckich Wyspiańskiego? O „Zbyt doświadczonym“ nie mówimy już nawet, bo ten rodzaj sztuki — z zazdrosnym mężem, teściową z kalendarza, kabałą, podrzuconem dzieckiem, sceną małżeńską i szczęśliwem zakończeniem — długo jeszcze będzie miał u nas zwolenników, którzy mu zapewnią powodzenie, chociażby nowe objawy twórczości w tym kierunku były jeszcze banalniejsze od „komedyi“ p. Mellerowej i bardziej jeszcze przypominały w pomyśle taką np. „Przygodę Stasia“ Bolesława Prusa, nie mówiąc już o różnych swojskich utworach scenicznych z przed lat dziesięciu, piętnastu lub nawet dwudziestu i więcej.

W swej „sztuce“ greckiej p. Mellerowa zasłoniła się powagą Petroniusza. W jego „Satyrykonie“ znalazła żarcik złośliwy o młodej i pięknej wdowie, która dotąd opłakiwała zmarłego przed paru dniami męża i pragnęła umrzeć z nim razem, dopóki nie znalazł się dorodny oficer, który swą pieśnią wywołał ją z grobu, nakarmił, napoił i zdołał przekonać na poczekaniu, że nawet po stracie męża życie ma jeszcze powaby, dla których nawet ciało opłakanego przed chwilą małżonka można oddać bez wahania — na szubienicę.

U Petroniusza jest to tylko żarcik, nic więcej, który w satyrze ujść może. Trywialne i niesmaczne zakończenie nie razi tam tak bardzo, brak przejścia między dwoma różnymi całkiem stanami duszy nie zastanawia. Obawiam się jednak, że gdyby sławny „arbiter elegantiarum“ mógł przewidzieć niebezpieczeństwo, grożące jego satyrze, gdyby przypuszczał, że w wieku dwudziestym zostanie ona uscenizowana w Warszawie — nawet przez zasłużoną autorkę „Fałszywych blasków,“ byłby się pomysłu swego wyrzekł czemprędzej i nawet jego ślady zatarł starannie. Nie przewidział, niestety, a skutki tego braku przenikliwości u estety rzymskiego odczuwamy dzisiaj boleśnie, oglądając znowu na scenie operetkową parodyę dawnych Greków, pozbawioną nawet dowcipu, humoru i satyrycznych żądeł „Pięknej Heleny,“ no i—panną Jadwigą Czaki w tak odpowiedniej dla niej i tak po warszawsku pojętej roli — młodej Greczynki. To chyba wystarczy.

Większość zresztą artystów, występujących we „Wdowie z Efezu“ w rolach drugorzędnych, wzorowała się głównie na „Pięknej Helenie,“ ogladanej, rzecz prosta, w naszym teatrze „Nowości,“ więc też całość była — wzruszająca. Nie ocaliły jej piękne usiłowania pani Lade, szczerość i humor w grze p. Żelazowskiego, ani wdzięk, z jakim p. Leszczyński nosił strój dawnych Hellenów.

Dużo ruchu i życia było za to w „Zbyt doświadczonym,“ gdzie dobra i doskonale zestrojona gra pani Borkowskiej w roli teściowej, panów Nowickiego, Rolanda, Wolskiego i Prażmowskiego, pan Ireny Trapszo, Rutkowskiej i innych pozwalała zapomnieć chwilami, że wszystko to widzieliśmy już i słyszeli sto razy. Pani Siennicka tylko w roli młodej mężatki, kochającej „zbyt doświadczonego“ męża, lecz znudzonej trochę jego zazdrością i podejrzeniami, zdobyć by się powinna na większe urozmaicenie gry, rażącej nieco suchością i brakiem akcentów uczuciowych.

Gdybyż przynajmniej przy tem wszystkiem autorka uniknąć była chciała w sztuce powtarzania tych samych lub zgoła nieprawdopodobnych sytuacyj. Ale gdzie tam: w akcie drugim Irena, a z nią naturalnie i widzowie—wysłuchać muszą dwukrotnie wyznań miłosnych dwóch bliźniaczo podobnych do siebie wielbicieli, później znów idą dwie podobne zupełnie sceny z szewcową i praczką; służąca prawi państwu długie kazanie o moralności, a operetkowe spotykania się we drzwiach, potrącania itd. rażą wprost w poważniejszym teatrze.

Wł. Bukowiński.

Notatki literackie i artystyczne.

— Dr. Jerzy Mycielski: *Antoni Van Dyck.* Kraków, 1900. Jest to obszerna monografia, dobrze charakteryzująca sylwetę tego wielkiego artysty, lecz dzieło to przedstawia przedewszystkiem nagromadzenie mnóstwa szczegółów, w znacznej części obojętnych dla ogółu czytelników. Są to popisy erudycyi i to głównie antykwarskiej a nie artystycznej, połączone z ustawicznem rozpraszaniem się w drobnostkach. Co nas np. może obchodzić, jacy panowie tworzyli komitet wystawy dzieł Van-Dycka w r. 1899 w Antwerpii? Czy dla stwierdzenia, że w poważnych rękach ta sprawa spoczywała? Na to wystarczyłoby trzy wiersze, a nie trzy strony. Dziwnem też wydaje się, że profesor wszechnicy Jagiellońskiej nie był w stanie uniknąć licznych błędów językowych i stylowych, rozsianych po książce.

Kropka.

— *Serca ludzi* (The hearts of Men). H. Fielding (Hurst and Blackett). Autor bada pochodzenie rozmaitych religij, oraz potrzeby, z których one płyną i dochodzi do wniosku, że wszystkie religie są sobie równe, jako „muzyka ludzkiego serca.“ (*Bookseller*).

— *Psychologia religii* (The psychology of Religion), prof. Starbuck, Atith, Preface by prof. William James (Walter Scott). Ciekawa próba zbudowania nowej gałęzi wiedzy, dotychczas starannie usuwanej z zakresu nauk rzeczywistych. (*Manchester Guardian*).

— *Moralność oparta na demografii* (La Moral, basée sur la demographie) Arsena Dumont. (Paris. Schleicher frères, 15 rue des Saint Pères). Książka rozpada się na pięć części: 1) Kryzys moralny; 2) Kryzys nauk moralnych; 3) Kryteryum demograficzne; 4) Miłość prawdy; 5) Alkohol. Autor twierdzi, że moralność została obecnie chwilowo zachwiana przez rozwój wiedzy ścisłej, który zburzył stare ustroje teologicznych i metafizycznych poglądów na świat. Rodzi się nowa religia, której jutrzenką jest namiętne poszukiwanie prawdy i sprawiedliwości w społeczeństwach ucywilizowanych. W ostatniej części autor dowodzi, że alkoholizm jest popierany przez rządy, nawet te, które pozornie wypowiadają mu wojnę; jest on głównem źródłem dochodu większości państw. Słynny statystyk utrzymuje, że przesadnie wiele złych następstw przypisują często alkoholizmowi, aby odwrócić uwagę od istotnych przyczyn złego. (*Revue internationale*).

— *Kwestya kobieca* (Die Frauenfrage) Lily Braun (Berlin, Hirzel). Piękny przyczynek do historyi wyzwolenia kobiet. Sprawozdawca nazywa ją „księgą cierpień kobiecych.“ (*N. fr. Presse*).

NA MARGINESIE.

Wizerunek Chrystusa. W ciągu ostatnich paru tygodni na łamach pism zagranicznych i naszych powtarzano w różnych wariantach wiadomość o rzekomem zdjęciu fotograficznem podobizny Chrystusa z negatywu, powstałego i utrwalonego na prześcieradle, w które Jezus był owinięty po złożeniu do grobu.

Nie dotykając wcale znaczenia tego odkrycia dla religii, bezkrytycznym szerzycielom sensacyjnej wieści możnaby zwrócić uwagę, że istnienie negatywu na całunie nie dowodzi bynajmniej, aby był on właśnie tym samym, który w ciągu dwóch dni przykrywał przed blizko 2000 lat ciało Chrystusa. Nie znamy bowiem dokładnie warunków, które towarzyszyły śmierci i pogrzebowi i nie jesteśmy w stanie zbadać zmian i reakcyj chemicznych, pod których wpływem kiedyś, w nieznanych nam okolicznościach, mógł powstać wzmiankowany negatyw.

Wieki średnie odznaczały się wogóle tendencyą do fałszowania rozmaitych relikwij, o czem świadczy między innymi fakt przechowywania przez długi czas w klasztorze w Besançon prześcieradła z wizerunkiem Chrystusa. Wizerunek ten w miarę zacierania się śladów był przez malarza odnawiany. Podług Berthelota (*Frankfurter Zing*, nr. 116) w VI wieku istniało 39 podobnych prześcieradeł. Mroki, pokrywające pochodzenie całunu, interesującego obecnie świat chrześciański, nie wzbudzają również większego zaufania do jego autentyczności.

Zauważymy jeszcze, że Akademia francuska, od której jeden z jej członków zażądał opinii w tej sprawie, nie chciała się nią wcale zajmować, a Berthelot, zapytany o powód, odpowiedział znacząco: „Jesteśmy *zbyt grzeczni* na to, aby nad takim przedmiotem dyskutować.“ Dodać należy, że nawet wśród kleru i pisarzy religijnych cała ta sprawa wywołała częściowe niezadowolenie.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

— D. 18 maja wieczorem o godzinie 12-ej, w chwili, gdy gubernator wileński von Wahl, wychodził z cyrku, z oddalenia podszedł bliżej do niego z tyłu jakiś człowiek i dał strzał z rewolweru, trafiwszy w rękę lewą. Gdy gubernator się obrócił, przestępca dał drugi strzał w w nogę prawą. Raniony dwukrotnie gubernator zachwiał się; policya i publiczność powaliła na ziemię napastnika, który dał trzeci strzał w powietrze; rozbrojono go i aresztowano. Na śledztwie zeznał, iż jest mieszczaninem gub. Kowieńskiej i nazywa się Hirsz Lekiert.

— *Prawit. Wiest.* donosi: „W d. 26 kwietnia (9 maja) r. b. okręgowy sąd wojenny petersburski rozpatrzył sprawę Stefana, syna Waleryana, Bałmaszewa, oddanego pod sąd za zabójstwo z rozmysłem ministra spraw wewnętrznych, łowczego Sipiagina. Wojenny sąd okręgowy, uznawszy Bałmaszewa winnym, skazał go, na mocy § 279 ks. XXII ust. wojsk. o karach, po pozbawieniu wszystkich praw stanu, na karę śmierci przez powieszenie. Podaną przez skazanego skargę kasacyjną główny sąd wojenny rozpatrzył na posiedzeniu dnia 29 kwietnia i pozostawił bez skutku. W d. 3 (16) maja wyrok został wykonany według § 963 i 964 ust. sąd. krym."

Komunikat urzędowy o rozruchach w gub Połtawskiej i Charkowskiej.

(Tel. Ag. Ros.).

(Dokończenie).

Wiadomości o pojawieniu się rabusiów w powiecie Wałkowskim gubernator charkowski, książę Oboleński, otrzymał wkrótce po objęciu obowiązków zarządzającego gubernią i wieczorem d. 31 marca (13 kwietnia) wyjechał na miejsce zaburzeń, wziąwszy ze sobą batalion piechoty i secinę kozaków. Wieczorem dn. 1 (14) kwietnia wojska zastały łupiczców w majątku generała jazdy Perlika, odebrały im zrabowane rzeczy, ukarały winnych i aresztowały około 50 osób. Aresztowawszy następnie włościan, plądrujacych w dwóch sąsiednich osadach w gub. Połtawskiej, książę Oboleński dowiedział się o zrabowaniu wielkiej cukrowni kupca Mołdawskiego we wsi Nowoiwanowskiej, w pow. Wałkowskim, zdążył jednak przybyć z oddziałem dopiero po dokonanym fakcie. Z cukrowni zabrano około 30,000 pudów cukru i wszelkie naczynia, rozebrano również na części i wywieziono machiny oraz wyprowadzono 150 par wołów. Tłum doszedł tu do takiego szaleństwa, że rzucił się na na szpital fabryczny, zrabował materyały apteczne, wyciągał z pod chorych i wynosił materace. Jakkolwiek 1 (14) i 2 (15) kwietnia zaburzenia trwały dalej, dzięki jednak wysłanym z Charkowa posiłkom, większą część napaści powstrzymało wojsko. Dnia 1 (14) t. m. tłum zrabował dobra obywatelki Gajewskiej i podpalił w nich zabudowania. Tegoż dnia uległa napadowi bogata właścicielka dóbr Kantakuzówka, gdzie zburzono śpichrze, uprowadzono bydło, zrabowano cenniejsze ruchomości we dworze, oraz bibliotekę. W dobrach obywatela Duchowskiego, Osinowic, włościanie, zrabowawszy wszystkie ruchomości, rozebrali dom na części i uwieźli z sobą.

Wieczorem 1 (14) kwietnia tłum rabusiów zbliżył się do miasta Walk. Nazajutrz na ulicach miasta ukazały się pierwsze grupy włościan, idących w celach rabunku, po przybyciu jednak wieczorem tegoż dnia gubernatora porządek przywrócono i winnych ukarano. Na tem w pow. Wałkowskim zaburzenia się zakończyły. Ogółem w powiecie tym zrabowano 25 osad rolnych i ekonomij. W takiejże mniej więcej liczbie grabieżom zapobieżono. Oprócz tego w sąsiadującej z pow. Wałkowskim miejscowości, położonej w pow. Bogoduchowskim, zrabowano dwie osady w dobrach Rabnówce i futorze Błagodatnem, napadnięty zaś futor Mirnyj został ocalony. Energiczna działalność gubernatora charkowskiego i zawiadomienie przez niego ludności, że po dobrowolnem zwróceniu zrabowanych rzeczy odpowiedzialność będzie mniejsza, uczestników rabunków otrzeźwiła, czego następstwem było to, że po uśmierzeniu zaburzeń włościanie zaczęli znosić do urzędów gminnych zrabowane przedmioty celem zwrócenia ich poszkodowanym, i składać ogólne w tym przedmiocie uchwały. Niezwłocznie po powstaniu zaburzeń zarówno w gub. Połtawskiej, jak i Charkowskiej, przybyli na miejsce przedstawiciele władzy sądowej, którzy rozpoczęli śledztwo przedwstępne. Jednocześnie z powyższem zarządzono badania przez oficerów oddzielnego korpusu żandarmów. Badania te przekonały, że w sąsiadujących z sobą częściach powiatów Połtawskiego i Konstantynogradzkiego, gdzie stan gospodarstw włościańskich skutkiem wynikłego w ostanich latach nieurodzaju nie był zbyt pomyślym, uwiła sobie gniazdo przeciwrządowa propaganda, która wyraziła się szerokiem rozpowszechnianiem wśród włościan występnych broszur i wydawnictw w języku małoruskim. W wydawnictwach tych wzywano ludność do powstania przeciw władzy i do zabierania majątków obywatelom. Należy nadto dodać, że ropowszechniane w społeczeństwie pogłoski o osobach jakoby uległym ze strony włościan gwałtowi, jako też o włościanach zabitych z rozporządzenia władz pod rózgami, są nieprawdziwe.

Powodem do powstania tego rodzaju wieści stała się najwidoczniej okoliczność, że celem ukrócenia rabunków władze zmuszone były zastosować karę cielesną względem przewodników powstania i więcej zaciętych jego członków. Kary te, odpowiednio na włościan podziaławszy, zapobiegły przedsięwzięciu surowszych środków, na podobieństwo tych, do których musiano się uciec podczas tłumienia zaburzeń względem włościan wsi Kowalówka. Osoby, dowodzące pojedynczymi oddziałami rabusiów i więcej winne uległy aresztowaniu; tenże los spotkał niektóre osoby z liczby prowadzących wśród włościan propagandę. Obecnie spokój publiczny w gub. Połtawskiej i Charkowskiej przywrócono i należy się spodziewać, że przedsięwzięte środki, dążące do wzmocnienia w miejscowościach tych ochrony policyjnej, zabezpieczą w przyszłości zachowanie w nich zupełnego porządku i spokoju.

KRONIKA.

— **Wiadomości społeczne.** Zmarła w Warszawie obywatelka ziemska Feliksa z Molsdorfów Płoska, między innymi legatami przeznaczyła: 2,000 rb. na kasę nauczycielek, istniejącą przy tutejszem Towarzystwie Dobroczynności; 1,000 rb. na schronienie nauczycielek; 8,000 rb. na fundusz wieczysty imienia testatorki dla istniejącego w Warszawie Towarzystwa artystycznego z warunkiem, aby odsetki od powyższej sumy były corocznie obracane na kształcenie artysty malarza, rzeźbiarza lub muzyka, Polaka, wyznania rzyms. katol. Gdyby dla jakichkolwiek powodów utworzenie powyższego stypendyum okazało się niewykonalne, cała suma przejść ma na własność kasy nauczycielek przy Warsz. Tow. Dobr., dla utworzenia stypendyum wieczystego na kształcenie się na nauczycielkę osoby Polki, wyznania rzymsk. kat.; pierwszeństwo będą miały panny, które ukończyły pensyę p. Hoene.

— Czytamy *w Kuryerze Codzien.*: Stangret pojazdu prywatnego pani Antropow, Stanisław Pruszkowski, uderzył batem z kozła, przechodzącego z matką synka p. Filipeckiego, zarządzającego drukarnią Orgelbrandów, za to, iż dziecko dotknęło się rączką klamki karety. Na prośby matki przechodzący ulicą pan Leon Kowalewski ujął się za dzieckiem i zażądał odprowadzenia zbyt energicznego stangreta do cyrkułu. Epilog tej sprawy rozegrał się d. 16 b. m. przed kratkami X cząstku sądu pokoju, gdzie na podstawie protokółu policyjnego stanęli oskarżeni o zakłócenie spokoju publicznego: stangret Stanisław Pruszkowski oraz p. Leon Kowalewski. Wyrokiem sędziego pokoju stangret Stanisław Pruszkowski został uniewinniony od wszelkiej odpowiedzialności, zaś p. Leon Kowalewski, pomimo obrony wnoszonej przez adw. przys. Łypacewicza, skazany został na siedm dni aresztu bez zamiany na grzywny."

— Z Bochumu donoszą, że w szkołach tamtejszego okręgu górniczego zbierane są przez władze dane statystyczne co do dzieci, mówiących po polsku. Chodzi zwłaszcza o stwierdzenie, które dzieci poza szkołą mówią po polsku i którzy rodzice w stosunku z własnemi dziećmi używają języka polskiego. Badania takie podjęte będą w innych także okręgach przemysłowych ze znacznym procentem ludności polskiej i stanowić mają podstawę do nowych kroków ustawodawczych.

— Niemcy, zamieszkali jako koloniści w guberniach południowych Cesarstwa, coraz częściej opuszczają swe siedziby i emigrują z rodzinami do Ameryki.

— Hakatyści w Tczewie czynią starania, ażeby rząd zabronił rozdzielenia funduszu, zebranego na dzieci wrzesińskie.

— Z Poznania donoszą, że wykupywaniem ziemi polskiej oprócz komisyi kolonizacyjnej zamuje się także regencya poznańska. Chodzi głównie o nabycie gospodarstw polskich we wsiach, w których są gospodarze niemieccy, oraz takich, które niedawno temu przeszły w ręce polskie z rąk niemieckich. Dla osiągnięcia zwartych osad niemieckich mają być wykupywane polskie gospodarstwa za każdą cenę.

— Bank włościański w Poznaniu ogłosił sprawozdanie, które wykazuje, że obroty funduszów za rok ubiegły zwiększyły się o 14 i pół miliona marek. Czysty zysk przyniósł 76, 666 marek, 9% dywidendy.

— Z Poznania wydalono polskiego artystę i baletmistrza Dolińskiego za udział w uroczystości „Sokoła".

Wiadomości naukowe. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłosiła konkurs na stypedyum im. Śniadeckich z fundacyi Seweryna Gałęzowskiego w sumie 5000 fr. w celu dopełnienia studyów naukowych za granicą; według słów fundatora, „z celem tym łączy się myśl, ażeby przy tej pomocy uniwersytety krajowe, na teraz krakowski i lwowski, mogły mieć zapewniony zapas sił nauczycielskich, a w każdym razie kraj ludzi mogących wpływać samodzielnie na postęp umiejętności". Kandydat, mogący otrzymać to stypendyum, jeśli nie jest w jakimkolwiek uniwersytecie krajowym lub zagranicznym docentem lub asystentem, winien posiadać wyższy stopień naukowy i być znanym z gorliwej pracy w zawodzie, któremu pragnie się poświęcić, w każdym zaś razie wymagana będzie od niego biegłość w języku polskim. Podania wnosić należy do Akademii umiejętności w Krakowie i dołączyć do nich świadectwa następujące: 1) że kandydat, według warunków powyżej określonych, może ubiegać się o powyższe stypendyum; jeżeli zaś jest docentem, powinien wykazać, co dotychczas wykładał i ilu miał słuchaczów; 2) prace naukowe, ogłoszone drukiem lub rękopiśmienne; 3) dokładny program studyów, które w ciągu roku zamierza odbywać. Stypendyum powyższe wypłaci kasa Akademii Umiejęt. w równych ratach półrocznych, mianowicie d. 10 października r. b. i 10 kwietnia r. p. Wypłata drugiej raty zależeć będzie jednak od uchwały komitetu stypendyalnego, któremu kandydat po upływie pierwszego półrocza złoży wyczerpujące sprawozdanie z odbytych studyów.

— Grono osób wystąpiło z projektem założenia Towarzystwa imienia dr. Marcelego Nenckiego, którego zadaniem byłoby popieranie nauk ścisłych i współdziałanie rozwojowi ekonomicznemu kraju.

Ruch kobiecy. Ministeryum oświaty pozwoliło kobietom udzielać lekcyj w niższych klasach męskich średnich zakładów naukowych.

— Kobietom, które otrzymały w uniwersytetach zagranicznych dyplom na stopień doktora medycyny, przyznano dla uzyskania stopnia lekarza w państwie rosyjskiem prawo zdawania egzaminów przed komisyami: przy petersburskim żeńskim instytucie medycznym, oraz przy wydziałach lekarskich w uniwersytetach.

Szkoły i wychowanie Ministeryum oświaty nadało inspektorowi studentów uniwersytetu warszawskiego prawa bezpośredniego porozumiewania się z innymi uniwarsytetami w kwestyi sprawowania studentów przechodzących na studya do Warszawy.

— Zarząd dróg żelaznych zawiadomił urzędników kolejowych, że dzieci ich, wracając do domu na wakacye, korzystać mogą z bezpłatnego przejazdu w tej klasie, która służy ich rodzicom, na obcych zaś kolejach—o klasę niżej. Przejazd codzienny do szkoły odbywać się może w kl. III-ej.

— Zwierzchność niektórych szkół handlowych w Warszawie zauważywszy, że ich wychowańcy, zwłaszcza z klas wyższych, bywają na wyścigach konnych i biorą żywy udział w totalizatorze, wytłomaczyła im złe skutki przyzwyczajania się od młodości do hazardu i prosiła, aby zaniechali tej demoralizującej rozrywki i nie dawali złego przykładu uczniom klas niższych.

Literatura i prasa. W Ciechocinku otwarto księgarnię i czytelnię polską p. W. Niemiry.

— Wychodzące we Lwowie *Nowe Słowo Polskie* zmieniło tytuł na *Nowy Głos Polski*.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Kasy pomocy i przezorności pracowników Drugiego Tow. wzaj. kredytu w Warszawie.

— Kijowskie Tow. rolnicze postanowiło urządzić w. r. 1904 wystawę rolniczą, podczas której odbędzie się zjazd rolników z gub. południowo - zachodnich oraz Połtawskiej i Czernihowskiej.

— Zawarto układy w sprawie dostawy węgli z zagłębia dąbrowskiego dla kolei i zakładów przemysłowych w Galicyi. Udział w dostawie przyjęły kopalnie: Saturn, Renard, Czeladź, Tow. Warszawskie i Kompania Sosnowicka.

— Komitet, zajmujący się urządzeniem pierwszej, rosyjskiej, ruchomej wystawy drobnego przemysłu i rzemiosł, postanowił odłożyć otwarcie jej do maja roku przyszłego.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich wypracował projekt rozszerzenia magazynów zbożowych. Na ten cel wyznaczono 60,000 rb.

— Tow. rosyjsko-belgijskie wyrobów metalowych w Warszawie rozpoczęło swą likwidacyę. Zyski i straty Tow. obejmuje spółka kapitalistów francuskich. (*Gaz. Los.*).

— Zatwierdzono Towarzystwo budowy i eksploatacyi kolei podjazdowych w Królestwie Polskiem pod nazwą „Towarzystwo kolejek nadwiślańskich." Nabyło ono od obecnych właścicieli kolejkę Marecką za 915,438 rb.

— Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Petersburgu postanowiło utworzyć komisyę w celu opracowania projektu biura centralnego dla przemysłu drobnego i wydawania pisma poświęconego tym sprawom.

— Postanowiono przedsięwziąć budowę odnogi kolejowej z Ostrołęki przez Łomżę do Osowca.

— Konsul szwajcarski w Warszawie zwrócił się do swego rządu z obszernym referatem, w którym domaga się, aby skorzystano z agitacyi antypruskiej wśród Polaków i postarano się o owładnięcie rynkami w Królestwie dla niektórych wyrobów szwajcarskich. W referacie swoim wskazuje on również, iż agitacya wywołała nietylko zmniejszenie wwozu do Królestwa towarów niemieckich, lecz i usunięcie niemieckich techników i innych specyalistów z zajmowanych przez nich posad, i radzi, aby skorzystali z tego poddani szwajcarscy.

— Postanowiono poddać opłacie celnej wszelkie próbki towarów, nadsyłane z zagranicy.

— Austryacko-rosyjski związek handlowy postanowił urządzić w Warszawie wystawę austryacko-węgierską.

— Wileńskie Towarzystwo rolnicze urządza wystawę rolniczo-przemysłową z gubernij: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Kurlandzkiej i Suwalskiej, która trwać będzie od 12—20 września.

Ze sztuki. Towarzystwo tatrzańskie ogłasza konkurs na budowę hotelu nad Morskiem Okiem na warunkach następujących: 1) Dom ma stanąć na zniwelowanym placu po dawnem schronisku spalonem, tak, aby wzdłuż całego budynku od strony Morskiego Oka biegła otwarta werenda; 2) budynek ma być murowany lub betonowy; 3) projekt budynku winien o ile możności, uwzględniać styl miejscowy; 4) projekty mają mieć formę szkicu, wypracowanego z miarami w skali 1—100. Termin nadsyłania prac do d. 1-go września r. b. Prace nadsyłać należy do biura Towarzystwa (Kraków, Sławkowska 15), które też wysyła na żądanie plany sytuacyjne i przekroje terenu. Nagrody trzy: 300, 200 i 100 koron.

— W Tow. Zachęty otwarto wystawę akwarel, rysunków i szkiców dawnych artystów polskich, w części ofiarowanych Towarzystwu przez p. Mathiasa Bersohna, a w części należących do jego zbiorów archeologicznych.

— We Lwowie otworzono nowy salon artystyczny Latoura.

— Wiedeńskie Muzeum historyczne nabyło akwarelę Grottgera „Puszczanie wianków," za 1000 koron.

Zmarli. Ludwik Kurella, w Warszawie, artysta malarz, w 68 roku życia.

— Władysław Skłodowski, w Warszawie, pedagog.

— Edmund Mochnacki, we Lwowie, prezydent miasta, w 65 roku życia.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Мая 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.